

---

# Wspomnienia Artura Gruszeckiego

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 67/2, 173-230

---

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## II. M A T E R I A Ł Y I N O T A T K I

Pamiętnik Literacki LXVII, 1976, z. 2

### WSPOMNIENIA ARTURA GRUSZECKIEGO

Opracował  
ALEKSANDER FIUT

Wspomnienia swoje, obejmujące dzieciństwo i młodość do r. 1879, Artur Gruszecki spisywać zaczął pod koniec życia. Jedyna datowana karta autografu pozwala zlokalizować czas ich pisania na okolice 1927 roku. Do chwili obecnej rękopis przechowywała córka pisarza, Aniela Gruszecka-Nitschowa. Wypada wszakże przypomnieć, że zaraz po wojnie podjęte zostały starania o jego publikację w redakowanej przez Kazimierza Wykę „Twórczości”. Do druku wprawdzie nie doszło, ale sporządzono wówczas maszynopis tego tekstu, posiadający teraz dużą wartość z uwagi na zaginięcie kilku kart oryginału. Na rękopis, pozbawiony karty tytułowej, składa się obecnie 46 kart o wymiarach 34 × 21 cm, obustronnie zapisanych atramentem, czytelnie i prawie bez skreśleń, po lewej połowie każdej stronicy; prawa połowa stanowi rodzaj szerokiego marginesu, na którym autor notował uzupełnienia: czasem pojedyncze słowa, dodane dla większej plastyczności wyrazu, a czasem małe całości, jakby później przypomniane. Numeracja stronic nie zachowuje pełnej ciągłości. Tak więc, poczynając od owej karty datowanej, która bez wątpienia powstała wcześniej (na co wskazuje syntetyczny rodzaj zapisu, a także zniszczenie i przyżółcenie papieru), rękopis zachowuje ciągłą numerację od 1 do 31, wpisaną przez autora atramentem. Natomiast numeracja fragmentów wcześniejszych naniesiona została ołówkiem, innym pismem (może przez redakcję „Twórczości”?). Powyższa obserwacja pozwala hipotetycznie odtworzyć proces powstawania wspomnień. A więc najpierw opisał Gruszecki swoje lata akademickie oraz pobyt w Warszawie, później zaś powrócił w okres dzieciństwa i wzbogacił zawarty na karcie datowanej obraz lat spędzonych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Niniejszą publikację wspomnień Gruszeckiego oparto na autografie, a zagubiony jego fragment uzupełniono z maszynopisu. Zgodnie z edytorskimi sugestiami Wyki zawartość luźnej karty autografu została częściowo włączona w tekst główny, pozostałą zaś jej część zamieszczono w przypisie. Sygnałem początku i końca tych włączonych fragmentów są gwiazdki, których funkcję każdorazowo precyzuje odpowiadająca im adnotacja u dołu stronicy. Tekst Gruszeckiego przytoczono wiernie, z zachowaniem jego właściwości językowych, modernizując jedynie ortografię oraz interpunkcję.

Bardzo serdecznie dziękuję Panu Profesorowi Henrykowi Markiewiczowi za wszechstronną i życzliwą pomoc w opracowaniu niniejszej publikacji.

#### [DZIECIŃSTWO]

Wspomnienia dzieciństwa są zawsze otulone mgłą, w której chwilami majaczejają nikiłe, rozwiewne, ledwo zaznaczone obrazy niewyraźnych zdarzeń i ludzi. Tylko od czasu do czasu, tuż na krawędzi, gdzie ciągnie

się w dal nieprzejrzysta mgła, występują nagle bardzo wyraźne, prawie jaskrawo oświetlone poszczególne obrazy czasu i ludzi, zapomniane i zasnuwane mrokiem w gwarze życia codziennego.

Oto wchodzi św. Mikołaj, bardzo wysoki, z ogromną białą brodą, w infule, z pastorałem w ręce, a wraz z nim niski pacholek z dwoma koszykami. Nas troje dzieci, dziewczynka i dwóch chłopaków<sup>1</sup>, tulą się do matki<sup>2</sup>, która upewnia św. Mikołaja, że dzieci są grzeczne. Św. Mikołaj odsłonił jeden koszyk, wyjął brzoźową pozłoczoną różgę i pogroziwszy nią włożył do koszyka, zaś po chwili obdarował nas jabłkami, orzechami i chlebem świętojańskim.

I nowy obraz.

Wczesny poranek, na stole w dzieciennym pokoju świeca łojowa w lichtarzu, obok na podłużnej ciemnej tacce szczytce do objaśniania knota, i nas troje, w koszulkach, bosy, rozpatrujemy z zachwytem dary, które św. Mikołaj złożył na małym stolyczku w rogu pokoju. Co za skarby! W owalnym białym pudełku całe gospodarstwo folwarczne: drzewa z czubami jasnozielonymi umocowane na białym kółku; krowy brązowe; konie czerwone; dom z czerwonym dachem; ciemne kury, jaskrawy kogut; czerwone cielęta; białe owce i ten rozkoszny zapach świeżej farby, surowego drzewa! Od tej pory św. Mikołaj przez tyle lat i po tylu latach był i jest przeniknięty zapachem zabawkowym.

W jakiś czas po tym pamiętnym św. Mikołaju, po ożywionej zabawie śnieżkami i ślizganiu się na obszernym podwórzu<sup>3</sup>, zbudził mnie i siostrę głęboki, świszczący i gwałtowny kaszel mego braciszka Zygmunta, śniegobrunecika, bardzo wesołego. Ojciec<sup>4</sup> i matka stali zaniepokojeni nad jego łóżeczkiem. Zygmunta przeniesiono do pokoju rodziców.

W dzień przyszedł doktor, bardzo wielki pan, w ogóle w owym czasie wszyscy dorośli byli dla mnie bardzo wysokimi, ale doktor szczególnie był wysoki, gruby, z wystającym brzuchem, na którym wisiał błyszczący łańcuszek złoty. Doskonale widziałem ten łańcuszek, bo stałem pomiędzy jego grubymi kolanami, a on głaskał moje włosy tłustą, miękką ręką i coś mówił z matką.

---

<sup>1</sup> Starsza siostra pisarza, Kazimiera, ur. 1850 lub 1851, później żona Jana Krumłowskiego, wyższego urzędnika Dyrekcji Skarbowej w Krakowie; Artur, ur. 1852, oraz Zygmunt, młodszy jego brat, zmarły w wieku 7 lat. Te i następne informacje biograficzne o rodzinie autora wspomnień zawdzięczam córce pisarza Anieli Gruszeckiej-Nitschowej (zmarłej 18 IV 1976 w Krakowie).

<sup>2</sup> Antonina Gruszecka z domu Löbl, zmarła przed ukończeniem przez pisarza gimnazjum.

<sup>3</sup> Gruszeccy mieszkali w Samborze.

<sup>4</sup> Wincenty Gruszecki (zm. 1974) piastował dobrze płatny urząd komisarza Dyrekcji Skarbowej Administracji Lasów w Galicji. Legenda rodzinna głosiła, że Gruszeccy wywodzą swój ród z folwarku czy też zaścianka Grusza w Lubelskiem. Dziadek ojca pisarza, Bartłomiej, brał udział w konfederacji barskiej, podczas której znalazł się na Ukrainie i tam już pozostał.

W kilka dni weszła matka do dziecinnego pokoju i powiedziała głosem smutnym i słodkim:

— Chodź, pożegnaj się z Zygmuśkiem.

Zaprowadziła mnie do środkowego pokoju, z drzwiami oszklonymi, wychodzącymi na ganek od ogrodu. Zdziwiły mnie palące się w dzień świece, a jeszcze bardziej Zygmus śpiący w trumience okrytej kwiatami. Nie rozumiałem, że umarł, a gdy matka zażawiona powtórzyła:

— Pożegnaj Zygmuśka — chciałem go ucałować.

Gdy zbliżyłem się do trumienki, ojciec chmurny i smutny, stojący w głębi pokoju, wycierając zapotniałe, zapewne z łez, okulary zawołał surowo:

— Idź do swego pokoju!

Przez okno kuchenne widziałem później dosyć ludzi na podwórzu i przez frontowy ganek wyniesiono trumnę z Zygmuśkiem.

Na wiosnę i w lecie, gdy byłem uważny i grzeczny w czasie lekcji, z mamą szliśmy na grób darniowy Zygmuśka. Mama sadziła kwiaty, a po odmówieniu modlitwy wolno mi było bawić się na cmentarzu, co bardzo mnie cieszyło, bo grabarz miał dwoje dzieci w moim wieku. Po pewnym czasie zabroniono mi tej zabawy i mama częściej brała siostrę moją ze sobą, a mnie zostawiała w domu, pozwalając biegać i bawić się w naszym ogrodzie.

Samotność dzieci trwa zawsze bardzo krótko, zawsze znajdują się towarzysze, a od biedy wystarczy drzewo, roślina, kamienie.

Wprawdzie ogród nasz był otoczony parkanem, ale czyż parkan może stanowić przeszkodę dla chłopaków? Przeciwnie, on tylko podnieca ambicję, ażeby usunąć jak najszybciej tę niewłaściwą przeszkodę do wspólnej zabawy i zwiedzenia dalszych stron.

Wkrótce zawarłem osobistą znajomość z dwoma chłopcami, których zapewne więcej nęcił nasz ogród owocowy aniżeli chłopak młodszy od nich.

Jeden z nich, Maciek Kołczykiewicz, z Inianą czupryną, krępy, silny, miał wielkie ręce i umiał kłąć dosadnie, już był uczniem pierwszej klasy normalnej.

Drugi, Feliks Perski, jasny blondyn, swywolny, skory do kłótni, wydrapywał się jak kot na każde drzewo.

Widocznie widzieli moją nieudolność w przełazeniu parkana, bo zawsze przychodzili tą najkrótszą drogą do naszego ogrodu. Od nich nauczyłem się szlachetnych gier dziecinnych: w „guziki”, w „chapankę”, w „kiczkę” i inne, jak w zajęcia, zbójów, w chowanego.

Nie pamiętam, czy rodzice pozwolili na zabawę z tymi chłopcami, przypuszczam, że tak, bo czasem jadaliliśmy wspólny podwieczorek u nas w pokoju.

Kiedy, jak i dlaczego przeprowadzili się rodzice z tego domu, nie wiem i nie pamiętam, dowiedziałem się później od matki, że chorowa-

łem na zapalenie mózgu. Z przebiegu tej choroby pamiętam jedną chwilę, że jechałem przez miasto, nade mną kłębiły się chmury odsłaniające chwilami jasne słońce. Wyjeżdżałem z matką w Karpaty dla wzmocnienia.

Dopiero od czasu zmiany mieszkania wspomnienia nabierają pewnej logicznej wyrazistości i ciągłości.

Dom, do którego przeprowadzili się rodzice, był murowany, parterowy, z pięciu oknami frontowymi, oddzielony od ulicy Drohobyckiej wąskim kwiatowym ogródkiem. Wchodziło się do niego od podwórza, na którym w głębi były stajnie i drewnutnia. W sieni były drzwi na prawo do kuchni, obok zaszalowane wejście na strych. Z lewej strony drzwi do jadalnego pokoju, w którym stało moje łóżko, a wprost drzwi wejściowych były drzwi do obszernego pokoju tzw. bawialnego. Mieszkanie składało się z pięciu pokoi. Najpierw jadalny, drugi pokój ojca, trzeci sypialnia matki i siostry, czwarty bawialny, w piątym z drzwiami do kuchni, zamieszkała babka ze strony matki, Maksymowiczówna z domu.

Kiedy wprowadziła się do nas, nie pamiętam. Była to szczupła kobieta, „średniego” wzrostu, nosiła biały czepeczek przez dzień na gładko uczesanych siwawych włosach. Twarz miała suchą, z ładnymi rysami, zwłaszcza oczy były piękne, ale wiał z nich chłód, w ustach surowość i duma. Głos miała przyjemny, zwłaszcza gdy mówiła z moją mamą i siostrą, która była jej ulubienicą, i gdy urodziła się siostrzyczka Julcia<sup>5</sup>, której kołyska stała przy łóżku matki, starszą siostrę wzięła babka do swego pokoju.

Stosunków ojca z babką nie można było nazwać wzorowymi i czułymi. Były zresztą uprzejme, ale w czasie obiadu padały czasami docinki i krytyczne uwagi tak z jednej jak i z drugiej strony.

Wpatrzony w ojca i widząc w nim doskonałość pod każdym względem, starałem się usilnie naśladować go we wszystkim, w chodzie, ruchach, spojrzeniu, w uśmiechu. Ojciec czytywał dużo i długo, i jakkolwiek książki mnie nudziły i najczęściej nie rozumiałem treści, czytywałem i ja. Dopiero zakaz ojca przerwał tę zabawę. Naśladownictwo ojca nie ograniczało się tylko do zewnętrznych jego właściwości, ale starałem się dostroić i kopiować jego usposobienie i uczucia. Cokolwiek ojcu się podobało, ja się tym zachwycałem, nie zdając sobie sprawy, dlaczego; a na co ojciec się chmurzył i z czego był niezadowolony, ja podzielałem te uczucia i naturalnie przesadzałem, jak zwykle niedołyżny uczeń swego niedoścignionego mistrza.

Nie pamiętam, jaką drogą i jakim sposobem zabrnąłem aż do otwartej niechęci względem babki, ale przypominam sobie, że raz, gdy matka i babka zajęte były szyciem, babka mówiła coś niekorzystnego o ojcu i musiałem powiedzieć babce coś bardzo niewłaściwego, bo matka kazała mi klęczeć w rogu pokoju, z twarzą do ściany. Był to najwyższy wymiar

<sup>5</sup> Julia, młodsza siostra pisarza, później żona Grabowskiego, adwokata w Przemysłu.

kary, gdyż nas nigdy nie bito ani klapsowano, i doskonale pamiętam, jak bardzo zniechęciłem babkę, patrzyłem na nią „jak wilk”, według jej słów, i tylko na rozkaz całowałem jej rękę po obiedzie i na dobranoc.

Jako rozpieszczony chłopak musiałem zapewne jej nieraz dokuczać, gdyż i ona w stosunku do mnie była surowa, niechętna i bezwzględna.

Stosunki nasze domowe, takie miłe, harmonijne i spokojne, popsuły się od czasu zamieszkania babki. Utworzyły się, jak mi się zdawało, dwa stronnictwa, z jednej strony babka, matka i siostra, z drugiej ojciec i ja. Pamiętam, że ojciec i matka, dotychczas nadzwyczaj zgodni, czynili sobie jakieś wymówki, patrzyli na siebie chmurnie i ojciec stawał w mej obronie za różne drobne przekroczenia.

Z siostrą, jako ulubienicą babki, jakkolwiek bawiliśmy się zgodnie, przychodziło do sporów, kłótni i zawsze miałem pod ręką słowa, jak mi się zdawało, bardzo złośliwe: idź cackać się z babcią! i zrywałem z babawę.

Pamiętam, że nawet do matki, bardzo dobrej, łagodnej i kochającej, miałem jakieś żale i pretensje z powodu niechętnych dla ojca rozmów babki z matką i gdy raz mama przyoblekła mnie w czystą bieliznę, co zawsze czyniła, miałem bowiem wówczas ósmy rok, zaczęła mi robić wymówki, że przestałem ją kochać, nie jestem posłuszny i dobry jak dawniej, rozplakałem się rozczulony i powiedziałem wśród łez: „Już i babcię będę kochał”.

Słowa moje powtórzyła mama babce i ojcu i dlatego utkwily mi w pamięci.

Zdaje się, że przyrzeczenia nie dotrzymałem, bo nie mogę złowić pamięcią ani jednej chwili czułego czy serdeczniejszego zbliżenia się do babki.

Właściciel domu, w którym mieszkaliśmy, Żyd Lejzor Reich, wysoki, z długą czarną brodą, zawsze bojący się, aż do śmieszności, naszego psa, Jazona, mieszkał w sąsiednim domu, którego podwórze łączyło się z naszym. Za jego domem ojciec wydzierżawił wielki ogród, według mego ówczesnego wyobrażenia olbrzymi, przecięty sześcioma alejami drzew owocowych zamykającymi cztery pola, orane co roku pod jarzyny, kartofle, kukurudzę. Granicą od strony południowej była bystro płynąca młynówka, od niej w stronę ulicy Drohobyckiej ciągnął się gruby i wysoki mur z jedną furtką okutą, zakratowaną, zawsze zamkniętą, i mur ten oddzielał nasz ogród od ogrodu kryminału, gdyż poza tym ogrodem wznosił się budynek sądu okręgowego, przerobiony z klasztoru, do którego należał niegdyś i ogród t. kryminalistów i nasz. Największą, najwspanialszą zaletą tego ogrodu był staw w rogu ogrodu, z prawdziwą wyspą porośłą olchami, a połączoną ze stałym lądem mostkiem z balaskami, bardzo chwiejnym, z desek zmurszałych, a który w razie wojny, pościgu, napadu bardzo łatwo stawał się mostem zwodzonym po wyjęciu desek.

Ten staw, otoczony wysokimi, ponurymi olchami, z tą wyspą i z tym zwodzonym mostem, był nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich moich kolegów niedoścignioną doskonałością, niebiańskim darem, podziwianym i upragnionym przez wszystkich chłopców.

Nie psuło naszych zachwyków i uwielbień lekceważenie wyspy i mostu przez dziewczęta z moją siostrą na czele, dla których wyspa z drzewami była błotnista, pełna żab i komarów, sam zaś most dziurawy, chwiejący się i niepotrzebny. Mimo moich gorących próśb i zachęty siostra nie chciała bawić się na wyspie, pod pozorem, że tam mokro i błotnisto, a co najważniejsze, że tam są pijawki i żaby!

Musiałem się z nią bawić pod olbrzymimi kasztanami w pobliżu furtki w murze, a przez kratę z obawą patrzyłem na aresztantów skutych kajdanami, przechadzających się po ogrodzie.

Nie zaniebrywałem jednak wyspy, naprawdę błotnistej, i nauczony doświadczeniem, dla niepoznaki myłem w stawie buciki. Zdradziły mnie mokre pończochy. Otrzymałem surowy zakaz chodzenia na wyspę samego, a jedynie pod dozorem ojca lub matki.

Z powodu małej siostrzyczki, zajęć domowych matka tylko wyjątkowo chodziła ze mną do oddalonego dość znacznie stawu, jeśli jednak uważałem na lekcji języka niemieckiego, którego mnie uczyła — wysyłała dla dozoru służącą ze mną; natomiast z ojcem byłem bardzo często na wyspie.

Ojciec wstawał rano. Matka, siostry, babka i dwie służące, jedną z nich była mamka, spały jeszcze — i wychodził do ogrodu, jak tylko pogoda była możliwa. Ojcu zawsze ja towarzyszyłem i pies Jazon, gatunek szpica, bardzo przywiązany do ojca, wesoły i pojętny.

Ojciec przechadzając się pytał mnie zadawanych przez matkę słówek niemieckich i uczył pogładowo botaniki w sposób b. zajmujący, bo przeplatany historią i anegdotą. Dopiero jednak przy zwierzętach, a zwłaszcza ptakach byłem niestrudzony w słuchaniu i pytaniach, i to zamiłowanie do ptaków pozostało mi na zawsze.

Jednego dnia zaprowadził mnie ojciec do olbrzymio rozrośniętego krzaku agrestu niedaleko stawu i pokazał mi gniazdo pokrzywki z pisklętami, zabraniając mi nawet zaglądać w swej nieobecności.

Te nagie pisklęta z otwartymi dzióbkami, piszczące cichutko, ta ich matka przeraźliwie jęcząca na gałęzi i fruująca tuż nad nami zrobiły na mnie wielkie wrażenie i nie omieszkałem pochwalić się tą tajemnicą przed mamą i siostrą.

Matka przyjęła tę nowinę dość obojętnie, ale siostra chciała koniecznie zobaczyć to gniazdo. Rano z ojcem i ze mną nie mogła się zdecydować pójść, bo zbudziłaby babkę, w której pokoju spała, uprosiła jednak ojca, ażeby w ciągu dnia zobaczyła gniazdo.

Poszliśmy skradając się cicho i ostrożnie, siostra na widok piskląt prosiła ojca szeptem o pozwolenie wzięcia do ręki pisklęcia, a po stanowczej odmowie ofiarowała się bardzo skwapliwie karmić maleństwa muszka-

mi. Ojciec zabronił. W kilka dni zastaliśmy gniazdo pustką, jak ojciec przypuszczał, kot albo wrony gnieźdzące się w olszynie zjadły pisklęta. Od tego zniszczenia piskląt i słów ojca długo, bardzo długo nie znosiłem kotów i nie cierpiałem wron.

Właściciel domu, Lejzor, miał dużo dzieci, pomiędzy którymi dwóch chłopaków, Łema i Mortko, było mniej więcej w moim wieku. Były też dwie dziewczynki, Hane, bardzo ładna i miła blondynka, i Esterka z czarnymi, błyszczącymi oczyma. Zacząłem bawić się z nimi, ale i ojciec, i matka zabronili mi tego, bo to brudne Żydziaki. Uległem z żalem, bo wśród nich byłem zawsze pierwszym i miałem posłuch.

W tym czasie przyszli do nas z wizytą Jaś Skwierczyński, syn komisarza Dyrekcji Skarbowej, chłopak przyjemny, ale wystrzegający się nadzwyczajnie powalania błotem bucików i ubrania, że nawet na wyspę nie poszedł, i Hugo, zdrobniałe Gunio, Linhardt, syn nadradcy Dyrekcji Skarbu, w której mój ojciec był komisarzem. Ten Gunio był to nikły, szczupły blondynek, lekceważony przez nas, gdyż byli u mnie Kołczykiewicz i Perski, obydwaj uczniowie drugiej klasy szkoły normalnej, co zawsze wzbudzało mój szacunek dla nich.

O co nam poszło i dlaczego przyszło do bójki, nie wiem, ale pamiętam moje upokorzenie i wstyd, gdy zwymyślałem ich od sztubaków, a wszyscy trzej, bo i Skwierczyński chodził do drugiej klasy, drwili ze mnie, że nawet sztubakiem nie jestem, że nic nie umiem, nawet „*Einmaleins*”!<sup>6</sup>

Istotnie nie umiałem po niemiecku rachować, a oni ze śmiechem wołali: „*In die Eselsbank!*”<sup>7</sup>, co doskonale rozumiałem, i przedrwiwając mnie wyszli z ogrodu. Ich drwiny i przykrość upokorzenia, że nie chodzę do szkoły, utkwily mi żywo w pamięci.

Pod koniec lata dowiedziałem się, że pójdę do szkoły. Matka ubolewała nade mną i słyszałem, jak ojcu tłumaczyła, że jestem za młody i nadto dziecinny, ojciec jednak nie zmienił swego postanowienia.

Ceremonia wpisywania mnie do szkoły nie zostawiła żadnego śladu w mych wspomnieniach, pamiętam tylko, że nauczyciel Dzieńdziniewicz, dobry, miły, uśmiechnięty pytał mnie w swoim pokoju z przedmiotów szkolnych w obecności ojca, przyjął mnie do trzeciej klasy i powiedział:

— Będziesz pierwszym w klasie.

— Nie ja, tylko Kołczykiewicz, bo on więcej umie — odpowiedziałem, za co nauczyciel mnie pochwalił mówiąc:

— Bardzo dobrze, zawsze trzeba być sprawiedliwym.

Pamiętam doskonale Dzieńdziniewicza palącego fajkę na długim cybuchu, jego mieszkanie zapełnione książkami, jego dobry uśmiech. Nie-

<sup>6</sup> Tabliczka mnożenia.

<sup>7</sup> „Do osłej ławki!”



długo jednak był moim nauczycielem, umarł tejże zimy. Ojciec kupił na licytacji dużo książek po nim i opowiadał mi później, że rząd za niełojalność przeniósł go za karę z nauczyciela gimnazjalnego na nauczyciela szkoły normalnej.

Odprowadzony przez matkę wszedłem do wielkiej sali pełnej uczniów, wrzasków, pisków, nawoływań. Zanim zjawił się nauczyciel, poznałem doświadczalnie, co to jest „prztyk” i „kręcik”, z prztyka omal że krew nie poszła mi z nosa, a z kręcika miałem czerwone uszy. W ten sposób witali repetenci nowo przybyłego.

Wszedł nauczyciel, uciszyło się i wskazany uczeń odmówił szkolną modlitwę po niemiecku. Patrząc na nauczyciela zobaczyłem portret cesarza austriackiego w złożonych ramach.

Po godzinie dano mi „sera”. Odbywa się to w ten sposób, że delikwent siada na środku ławki, a sąsiedzi z prawej i lewej strony cisną ku środkowi z całych sił. Zwykle wyskakuje wyciskany jak korek z butelki musującego napoju i pada na ziemię ku ogólnej uciecze.

W kilka dni wiedziałem, że dyrektor szkoły, ksiądz grekokatolicki Skobielski, nazywa się „Łasica”, że jest zły i zawzięty. Nie znając go na oczy, nie obawiałem się go tak bardzo, natomiast stróż szkolny Sebastian, wysłużony żołnierz, wzbudzał we mnie nie tylko szacunek, ale ogromną obawę. Opowiadano bowiem, że jeśli jest w dobrym humorze i uczeń mu się podoba, to wyliczając delikwentowi naznaczoną karę nie bierze różgi brzozonej namoczonej w słonej wodzie, lecz suchą, której uderzenia są mniej bolesne.

Sebastian, niemłody blondyn z łagodnymi niebieskimi oczyma, stąpał twardo i ruchy miał ociężałe. Wszyscy baliśmy się go, bo w owym czasie uważano różgę za bardzo pożyteczny, czasem za jedyny środek pedagogiczny do zachęty, uwagi i pilności ucznia.

Bardzo często, niemal codziennie, dochodziły nas, w klasie będących, płaczące i jęczące echa egzekucji, bo dyrektor Skobielski nie tylko ze względów pedagogicznych, ale, jak mówiono w klasie, dla własnego zadowolenia stosował bardzo obficie różgi, a za jego przykładem szli inni nauczyciele, z wyjątkiem młodego katechety, ks. Gruszczyńskiego, który co najwyżej dawał niesfornym „pacy”, uderzenia dłoni płaską stroną linii.

Nauka w naszej klasie trwała od godziny 8-mej rano do 12-tej i od 2-giej do 4-tej. Językiem wykładowym był język niemiecki, a cztery godziny na tydzień były poświęcone nauce tzw. *Landesprache*<sup>8</sup>, to jest dwie godziny na polskie i dwie na ruskie.

Polskiego uczył nas, po śmierci Dzieńdziniewicza, Rusin Carewicz. Nominalnie istniał surowy zakaz dyrektora Skobielskiego używania w klasie języka polskiego, ale ponieważ żaden z uczniów, z wyjątkiem dwóch

<sup>8</sup> Język krajowy.

Niemców, kolonistów z Kranzdorfu, i dwóch Austriaków, bliźniaków Komanów<sup>9</sup>, nie umiał wysłowić się po niemiecku, więc zakaz wisiał wprawdzie nad nami jak miecz Damoklesa, ale my wszyscy rozmawialiśmy tylko po polsku, tym chętniej i uporczywiej, że był zakazany, tylko wówczas, gdy podejrzewaliśmy, że pod drzwiami klasy podsłuchuje dyrektor lub belfer, wykrzykiwaliśmy słowa niemieckie bez związku.

W klasie nie było żadnych różnic stanowych, majątkowych lub wyznaniowych, co prawda było tylko dwóch Żydów: Barbar, syn doktora, który leczył Zygmunia, i Witz, syn adwokata. Wszyscy Rusini bez wyjątku mówili ze sobą i z nami tylko po polsku, a owi Rusini byli przeważnie z licznych zaścianków szlacheckich z okolic Sambora, jak Horodyscy z Horodyszcz, Bereźnicy z Bereźnicy, Kulczyccy, Terleccy, Czajkowscy, Baranieccy itd.

W klasie nie popłacała pilność, nauka, wzorowe obyczaje, tylko dzielność i siła z jednej strony, zaś umiejętność podpowiadania i przesyłania zadań z drugiej strony.

Zdawałoby się, że ten ustrój pierwotny naszej klasy był krzywdzący dla słabych i małych, jednak równowaga była zachowana. Wśród kolegów — a było nas przeszło pięćdziesięciu, zaś ilość ogólna uczniów szkoły przeszło 350, z czego byliśmy bardzo dumni, bo gimnazjum liczyło mniej uczniów — otóż w klasie było wielu, zwłaszcza ze wsi, chłopców po 15, 16, 17 lat, którym sypały się wąsiki. Ci zajmowali naturalnie ostatnie ławki, jako nieuki, w pobliżu „ławki oślej”, i oni utrzymywali harmonię i porządek wśród kolegów. Każdy mały i wątył miał swego protektora, który go bronił w razie niesprawiedliwości lub przemocy.

Miałem i ja swego protektora w osobie kolegi Horodyskiego. Był to smukły blondyn, może 16-letni, łagodny i powolny. Obowiązkiem moim było dzielić się z nim drugim śniadaniem, które przynosiłem z domu, zdarzało się jednak, że mój starszy kolega był wyjątkowo głodny albo też wyrwał mnie z opałów koleżeńskich, wówczas kupowałem na pobliskim rynku śledzia z beczki za dwa centy i bułkę za centa.

Taką kwotę pieniężną miewałem dość często, bo to matka, to ojciec dawali mi kilka centów na kupno precli, piernika lub makagigi, przynoszonych do szkoły w koszyku przez bardzo starą, niechlujną Żydówkę, i zamiast tych przysmaków, które miały uzupełnić śniadanie, kupowałem pożywniejsze przysmaki dla protektora.

Pewnego razu zwierzył mi się, że jak tylko skończy czwartą klasę, ojciec odda mu gospodarstwo po nieboszczce matce, będzie miał konia, krowę i ożeni się.

Te obrazy jego przyszłości olśniły mnie i miałem dla niego tym większy szacunek.

I jeszcze jedno wspomnienie o Horodyskim. Jednego dnia zaprowadził mnie po szkole do sklepiku żydowskiego. Kupiec nalał dwa kieliszki

<sup>9</sup> Pisownia nazwiska niekonsekwentna, zob. s. 182.

wódki różowej, a obok położył dwa migdały w cukrze czerwonym. Po wypiciu wódki i zjedzeniu wybornych migdałów zrobiło mi się nie-dobrze i zachorowałem ku utrapieniu kupca, a Horodyski zawołał pogardliwie:

— Głupi smarkacz!

Wróciłem do domu osłabiony, mama kazała mi iść do łóżka. Posłuszny zakazowi Horodyskiego nie powiedziałem nic o wódce, ale przez długi czas sam zapach wódki sprawiał mi obrzydzenie i dziwiłem się, że ojciec i goście mogą ją pić.

Wspomnień związanych z klasą trzecią, oddział A, nie posiadam żadnych z wyjątkiem poszukiwania winnych obrazy cesarza. W klasie było dwóch Komannów bliźniaków, których ojciec, urzędnik podatkowy, podporca czy oficjał, typowy Niemiec, z wygoloną twarzą, w cylindrze, ochrzcił jednego Franciszkiem, drugiego Józefem, zapewne na cześć panującego cesarza austriackiego, Franciszka Józefa. Byli to chłopcy chmurni, osowiali, obydwaj rudzi, piegowaci, źle mówiący po polsku, z którymi żaden z nas się nie zadawał i nie bawił. Wołano na nich zawsze „Francjózefy”, a złośliwi dodawali drugie przezwisko: „Kajzerki”, synonim bułek.

To drugie przezwisko doprowadzało bliźniaków do pasji, co nas zachęcało do większego dokuczania. Wśród różnych kalamburów słowa: „Kajzerki”, mówiono, gdy byli w pasji: „Nie zjem cię, Kajzerku, boś wstrętny, Francjózefie”. Dokuczano im i prostackimi wyrazami, bo synowie Mazurów z przedmieścia i szlachty zagonowej nie przebierali w dosadnych słowach. Bliźniacy poskarżyli się ojcu, a ten zażądał ukarania winnych od gospodarza naszej klasy, Ronowicza.

Był to starzec bezzębny, wysoki, szczupły, z twarzą wygoloną, z małutkimi oczkami i ze świecą łysiną. Miał tę właściwość, że przemawiał o każdej, choćby najdrobniejszej rzeczy z wielką uroczystością i nabożeństwem. Zbyt surowym nie był, przynajmniej nas, siedzących w pierwszych ławkach, nie pamiętam, ażeby karał różgą.

Dochodzenie wstępne nie wykryło winowajcy, a przezwiska: „Francjózefy” i „Kajzerki”, były powszechne, nie tylko w oddziale A, ale i w oddziale B. Jednak wobec naszego przestępstwa lekceważenia imienia cesarza nauczyciel wystąpił z pompą. Widzę go jeszcze stojącego na gradusie i przemawiającego długo po niemiecku, a my staliśmy dla większej uroczystości w ławkach. Nie pamiętam wcale, co mówił, wreszcie za karę nie wolno nam było wyjść z klasy w czasie pauzy i pod odpowiedzialnością „bankaufseher’ów”, kolegów pilnujących porządku na wyznaczonej ławce, mieliśmy wypisać tyle a tyle razy jakąś sentencję niemiecką.

Nie poprawiło to w niczym losu bliźniaków, natomiast oni przystosowali się do nas, a gdyśmy przeszli do gimnazjum, byli dopuszczeni do

koleżeństwa, trochę oschłego z powodu ich austriackości, chociaż obydwaj głośno przyznawali się do narodowości polskiej.

W czwartej klasie normalnej, o ile pamiętam, po raz pierwszy zaznaczyła się wśród nas różnica narodowościowa.

Do naszej klasy został przyjęty z innej szkoły Bazyli Hyczko, chłopak krępy, gruby, pyzaty, miał czerwone policzki i nos dziwnie mały. Obok niego siedział Turek, mizerny, blady, ogólnie lubiany, syn doktora powiatowego. Nagle posłyszeliśmy gniewny głos Hyczki:

— *Idy k'czortu! Ty Lach, a ja Rusyn* — i prawie równocześnie zaczęli się bić.

Turek jako słabszy uległ, ale ta jego klęska naruszyła honor klasy, przecież jakiś obcy przybłąda tryumfował, a do tego nie można było dopuścić. Najpierw sponiewierano Hyczkę, który wzywał Rusinów na pomoc, i wkrótce klasa rozdzieliła się na dwa obozy. Polski był znacznie liczniejszy, ale Rusini byli bardziej zawzięci, brutalniejsi i krzykliwsi. Wejście nauczyciela uciszyło i uniemożliwiło czynną walkę, ale różnica narodowościowa zaczęła się pogłębiać. Rusini rzucali drwiące pytania w rodzaju: „gdzie wasza Polska?” „gdzie wasz król?” „gdzie wojsko?” Nie umiając im odpowiedzieć, broniliśmy się wyzwiskami: „głupi Iwan”, „*Rusyn to swynia*”, a nawet z dobrą wiarą mówiliśmy, że mają czarne podniebienie.

Ten stan wojenny stopniowo się uspokajał, większość drobnej szlachty, chociaż wyznania greckokatolickiego, połączyła się z nami, nie zrywając jednak z Rusinami, a już każdej soboty po spadnięciu śniegu o różnicy narodowościowej mowy nie było, wszyscy wspólnie biliśmy się z Żydami.

Za moich czasów weszło w zwyczaj, pilnie przestrzegany, że uczniaki szkoły normalnej, a często i z niższego gimnazjum, gromadziliśmy się licznie w pobliżu cerkwi unickiej, stojącej na wzgórzu. W dole zaś była dzielnica żydowska Blich. Jeśli Żydziaki nas nie atakowali, część uczniów zbiegała z górki na Blich i zarzucała Żydów i Żydówki śnieżkami. Żydziaki wybiegali tłumnie i gonili uciekających aż pod cerkiew. Dopiero wówczas rozpoczynała się prawdziwa zabawa w bitwę, a głównie chodziło o niedopuszczenie Żydów do zdobycia naszych śnieżków ułożonych w piramidę. Czasem udawało się Żydom zająć naszą pozycję, ale z reguły my odpieraliśmy napad i goniliśmy zwyciężonych aż pod pierwsze domy na Blichu.

Nie obeszło się, ażeby ten czy ów nie oberwał guza, zakrwawionego nosa, napuchniętego policzka lub ucha, nie mówiąc o powalanych, czasem i rozdartych ubraniach, ale tego rodzaju przygody stanowiły urok zabawy.

„Francjózefy” Komany mieszkali tuż obok placu bitwy, nie brali jednak, o ile pamiętam, nigdy udziału w zabawie. Oni, kilku Niemców z pobliskich kolonii i Żydzi w sporach narodowościowych w naszej klasie

zachowywali neutralność, co nie uchroniło ich od wymyślań i szturchańców tak z jednej jak i z drugiej strony.

Z wyjątkiem jedynie Komanów i kolonistów wszyscy inni synowie urzędników i zniemczonych Czechów uważali się za Polaków i nic wspólnego nie mieli z Rusinami, którzy chętnie się swą austriackością i wiernością cesarzowi.

U nas w domu nigdy rodzice nie zaznaczali, nie podkreślali swej polskości i patriotyzmu wobec nas, dzieci, i od najwcześniejszego dzieciństwa nigdy mi na myśl nie przyszło, że mógłbym należeć do innej narodowości aniżeli do polskiej, najdoskonalszej i najszlachetniejszej na świecie.

W domu dowiedziałem się, i to tak mimochodem, że Moskale i Niemcy, nie nazywani prawie nigdy inaczej jak Szwabami, są wrogami najgorszymi Polaków. Moskali nigdy nie widziałem [...]

Szwabów znałem i widywałem, napawali mnie wstrętem i odrazą, bo naszym zdaniem, to jest moim i kolegów, każdy Szwab był tchórzem podłym i zdradzieckim i tylko dzięki opiece wojska mieszka chwilowo w Polsce, zajmując dobrze płatne urzędy.

Ojciec, jeżeli chciał dosadnie skrytykować ujemne strony jakiejś osoby, mówił tonem pogardy: „to szwabska natura”.

U nas w klasie do najgorszych wyzwisk, w których mieściło się lizusostwo, szpiegostwo, z dominującą właściwością tchórzostwa, używano słów: „ty Szwabie”, i podobnej obrazy nigdy nie puszczano płazem.

Do Szwabów zaliczali się naturalnie urzędnicy z Czech, którzy zawsze bardzo jaskrawo zaznaczali swą przynależność do Niemców.

O Rusinach nie pamiętam, ażeby u nas w domu mówiono źle i z pogardą. Ojciec wyrażał się o nich pobłaźliwie, tonem pana mówiącego o służbie, żartował z ich lenistwa i zabobonów. Matka dosyć chętnie śpiewała ruskie pieśni usypiając dzieci, a nam wolno było rozmawiać po rusku ze służbą domową, która z zasady odpowiadała po polsku. Pamiętam, że do kucharki posłany przez matkę po zapałki powiedziałem: „*dajte meni sirki*”, „ja nie mam siarki”— ofuknęła, a gdy w dalszym ciągu wyjaśniałem po rusku, czego chcę, powiedziała z gniewem: „niech panicz idzie tak mówić na wieś, do chłopów, ale nie do mnie!”

Żydów uważaliśmy za zupełnie obcych, przeważnie biednych przybłądów, skazanych na wieczną wędrówkę za umęczenie Chrystusa. Dla nas, dzieci, byli oni przeważnie tylko śmieszni swą bojaźliwością, zabawną wymową i przekręcaniem słów polskich, swym ubraniem, pejsami, jarmułką, a posiadali tę zaletę, że z nich zawsze było można zakpić, zażartować, i to bezkarnie, zresztą ich wrodzony, jak nam się zdawało, brud, zapach czosnku i cebuli, wreszcie częste parchy odstręczały nas od nich. Wyzwisko: „ty Żydzie”, lub złośliwsze: „ty parchu żydowski”, nie było nawet w drobnej części tak obraźliwe jak: „ty Szwabie przeklęty!”

Takie, o ile pamiętam, były nastroje narodowościowe w czwartej kla-

sie na pierwszym kursie, wtem do klasy weszli w konfederatkach Turek i Mrawinczyc, syn urzędnika z Czech przybyłego. Rusini natrzęsali się z konfederatek i ich rogów, my zaś byliśmy olśnieni i zachwyceni. Mrawinczyc z dumą opowiadał, że jego starszy brat, uczeń szóstej klasy gimnazjalnej, ma nie tylko konfederatkę, ale czamarkę i żupanik. Naturalnie marzeniem każdego z nas była konfederatka i prawdopodobnie każdy z nas prosił rodziców o kupno.

Po dwóch dniach i Turek, i Mrawinczyc przyszedli bez konfederatek. Na usilne pytania Turek odpowiedział, że jego matka pozwala mu używać konfederatki, gdy z nią idzie, ale nie do szkoły, zaś Mrawinczyc odrzekł z goryczą: „Ojciec nie pozwala ani mnie, ani bratu”.

Jednakże na rynku samborskim, najpiękniejszym na świecie, jak mi się zdawało, i gdzie co wieczora zgromadzała się spacerująca publiczność na jednej linii kwadratu zabudowanego, a również w ogrodzie publicznym zwanym „*Volksgarten*”, tuż przy sądzie obwodowym, coraz częściej pojawiali się chłopcy, prawda, że przeważnie mali, ale w konfederatkach i żupanikach.

A było to w maju 1861 roku.

Jednego dnia, gdy już ubrany wybierałem się do szkoły, matka zamiast kapelusza podała mi konfederatkę. Radość moja była nadzwyczajna i z dumą szedłem do szkoły.

Tuż przy bramie wchodowej spotkałem się z Maćkiem Kołczykiewiczem, z którym łączyły mnie od dawna przyjacielskie stosunki. Zdziwił się zobaczywszy konfederatkę i powiedział mi swoim szorstkim głosem, że zostanę wypędzony ze szkoły, bo „Łasica”, tj. dyrektor ks. Skobielski, zabronił jak najsurowiej noszenia odznak polskich. Wyjaśniłem Kołczykiewiczowi, że jeśli ojciec i matka dali mi konfederatkę, to wiedzą, że wolno ją nosić.

Po pierwszej godzinie wpadł do klasy dyrektor, niski, szczupły, z niespokojnymi ruchami; na wygolonej twarzy miał zawsze, przynajmniej dla nas, uczniów, jakąś gniewną zajadłość, a małe, przenikliwe oczy zdawały się przeszywać na wskroś, gdy ostro spojrział.

Przy jego wejściu zerwaliśmy się z ławek, a on idąc w stronę profesora spojrział na szaragi przybite do ściany. Nagle zrobił szybki zwrot ku szaragom, wyciągnął rękę i pochwycił moją konfederatkę.

— *Wem gehört das Ding da?* <sup>10</sup> — potrzęsnął konfederatkę.

Kilka głosów wymieniło moje nazwisko, a on spojrzawszy z gniewem na mnie, zawołał:

— *Heraus!* <sup>11</sup>

Zaledwie wysunąłem się z ławki i stanąłem na wolnym przejściu, krzyknął:

<sup>10</sup> „Do kogo należy ta rzecz?”

<sup>11</sup> „Precz!”

— *In die Kanzelei!*<sup>12</sup>

Sam szedł bardzo szybko przodem, a ja tuż za nim. Nie pamiętam, o czym myślałem, czy o konfederatce, czy o karze, nie miałem zresztą czasu, bo już znalazłem się w kancelarii dyrektorskiej. Najpierw zauważyłem długi, prostokątny, żółtawy stół i ogromny portret cesarza.

Dyrektor z konfederatką w rękę zasiadł w pobliżu rogu stołu, przy którym stałem. Mówił coś do mnie ostro i głośno, jak zwykle, po niemiecku, ale nie pamiętam, o czym, bo mnie zajmował tylko los konfederatki. Nie wiem, z jakiego powodu, może powiedziałem coś niewłaściwego, dość że wpadł w pasję, schwycił wielkie kancelaryjne nożyce i uciął jeden róg konfederatki. To okaleczenie ukochanej czapki było zbyt dojmujące, zawołałem po polsku:

— To moja konfederatka! — i wyciągnąłem po nią rękę.

Dyrektor zerwał się z fotela i krzyknął:

— *Du polnischer Lausbub! ich werd'dir zeigen!*<sup>13</sup>

Schwycił za taśmę od dzwonnka i do kancelarii wszedł, ciężko stąpając, chmurny Sebastian, któremu dyrektor rozkazał, w ruskim języku, wymierzyć mi chłostę dwunastu różeg „*bez sztaniw*”, czyli, jak my mówiliśmy, na gólkę. Sebastian ujął mnie za ramię, a dyrektor, gdyśmy byli przy drzwiach, jeszcze zawołał z pasją:

— *Bez sztaniw!*

Co prawda, nie miałem poczucia, że dopuściłem się podwójnej zbrodni, bo odezwałem się po polsku w przybytku dyrektorskim i zrobiłem ręką ruch zaborczy, natomiast jasno uświadomiłem sobie, że jedynym ratunkiem od bolesnej chłosty jest ucieczka. Z kancelarii dyrektora wychodziło się na korytarz, który od strony ulicy miał normalne drzwi, przez nie wchodziłi nauczyciele i interesanci do dyrektora, gdy główna brama, przeznaczona dla uczniów, była zamknięta zawsze w czasie lekcji.

Wyszedszy na korytarz dojrzałem drzwi od ulicy lekko przymknięte, wyszarpnąłem ramię z ręki Sebastiana i jak kula runąłem przez drzwi na ulicę. Sebastian nie gonił mnie, coś krzyknął, a ja pędziłem bez tchu do domu.

Opowiedzieć musiałem całe to przejście z dyrektorem oddzielnie matce, babce i ojcu. Na drugi dzień nie poszedłem do szkoły, dopiero na trzeci czy czwarty dzień. I konfederatka, i ucieczka przed chłostą nie miały żadnych następstw, przynajmniej nie utkwiły mi w pamięci. Znacznie później, gdy byłem już w gimnazjum, dowiedziałem się od ojca, że wyrażenie dyrektora: „*polnischer Lausbub*”, zawierało w sobie obrazę narodowości i dyrektor unikając skargi puścił w niepamięć sprawę z konfederatką.

W czwartej klasie, jako dziewięcioletni chłopiec, z wielkim zamię-

<sup>12</sup> „Do kancelarii!”

<sup>13</sup> „Ty polski łajdaku! ja ci pokażę!”

waniem czytywałem prenumerowany przez ojca „Przyjaciel Ludu” wydawany w Lesznie<sup>14</sup>. Kilka roczników było u nas, które stanowiły dla mnie nie tylko nieprzebrany skarb wiedzy, ale, co było dla mnie ważniejsze wówczas z powodu kłótni z Rusinami, pismo to dawało mi niezliczone dowody, że Polska i Polacy są wielkim, najszlachetniejszym narodem, który z powodu sąsiedztwa Niemców i Moskali popadł chwilowo w okropną niewolę.

W każdym numerze spotykałem liczne przykłady z różnych czasów, jacyśmy byli dzielni, odważni, szlachetni i sprawiedliwi i jak nas oszukiwano i wyzyskiwano. Rosła we mnie duma narodowa, uwielbienie dla Polski, a nienawiść i wzdarda do wrogów. Marzyłem bardzo często, zwłaszcza gdy pozwolono mi wziąć ze sobą do ogrodu starą szablę ułańską, że jestem wodzem niezwykłego oddziału, że wszystkich Szwabów i Moskali zwyciężam, biorę do niewoli, a ich wodzów i cesarzy ścinam w bitwie. Tych wodzów i cesarzy przedstawiały dla mnie w ogrodzie bodiaki, wielkie pokrzywy, łobody, w ogóle wysoko rosnące chwasty, które ścinałem szablą z wielkim zamiłowaniem.

Z moją starszą o rok siostrą próbowałem rozmawiać o treści przeczytanych w „Przyjacielu Ludu” wiadomości, ona jednak lekceważyła mnie i jako brata młodszego, i jako chłopca, a więc coś niższego od dziewczyny. Raz, pełen zapału po przeczytaniu „Przyjaciela Ludu”, zacząłem jej opowiadać najnowszą wiadomość o bitwie z Tatarami pod Lignicą, opatrzoną ryciną na pół strony<sup>15</sup>, a ona podniosła głos na mnie, że jej przeszkadzam w nauce i że jej nie obchodzą jakieś tam bitwy. Przyszło do głośnej kłótni, babka i matka były po jej stronie; rozgniewany zapowiedziałem, że nikomu prócz ojcu nie opowiem nic o sobie ani o szkole.

Skończyło się oczywiście na pogróżce, zwłaszcza wobec matki, która dla mnie była zawsze bardzo dobrą, wyrozumiałą i cierpliwie wysłuchiwała mej gadaniny.

Religia w naszym rodzinnym życiu nie odgrywała wybitnej roli. Nie widziałem ojca modlącego się, nie spowiadał się i do kościoła nie uczęszczał, z wyjątkiem narodowych nabożeństw, czynił to jednak, jak głośno mówił przy stole, ze względów patriotycznych, nie słyszałem jednak nigdy, ażeby ojciec robił matce jakieś wymówki lub natrząsał się z jej pobożności lub babki.

Mówiłem codziennie pacierz rano i wieczorem, najpierw z matką, a gdy podrosłem, sam półgłosem recytowałem *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*, z końcowym dodatkiem o Aniele Stróżu. Gdy przyszedł czas go-

---

<sup>14</sup> „Przyjaciel Ludu” wydawany w Lesznie w latach 1834—1849, redagowany przez Jana Poplińskiego i innych; jedno z pierwszych pism polskich ilustrowanych; zamieszczał artykuły z historii i literatury polskiej oraz folkloru.

<sup>15</sup> Autor ma chyba na myśli artykuł *O pierwszym wпадnieniu Tatarów do Polski* („Przyjaciel Ludu” 1839, nry 38—39), zawodzi go wszakże pamięć — artykuł nie został opatrzony ilustracją.



rażącego nastroju religijnego przed powstaniem i w czasie powstania styczniowego, należałem, idąc za przykładem matki, do gorących i prawowiernych katolików, co trwało z małymi zmianami aż do piątej klasy gimnazjalnej.

W mieście były dwa kościoły katolickie. Kościół parafialny, fara, zbudowany na wzniesieniu, ze smukłą wieżą, wewnątrz bardzo bogaty, jak mi się zdawało, bo przeładowany obrazami, ołtarzami, feretronami, a drugi był kościół Bernardynów, stojący pomiędzy budynkiem gimnazjalnym a szkołą normalną. Kościół wielki, poważny, nawet posępny, do którego my, uczniowie, chodziliśmy na msze i nabożeństwa obowiązujące.

Proboszczem w owym czasie był ks. Jedliński, kanonik. Człowiek wysoki, chudy, z wielkim spiczastym nosem, usta miał szerokie, a wargi wąziutkie. Raz do roku wizytował naszą szkołę w czasie nauki religii, udzielanej przez wikarego ks. Gruszczyńskiego, miłego, wesołego i dobrego, któregośmy bardzo lubili.

Ksiądz kanonik Jedliński, jak słyszałem przy obiedzie od ojca, miał „szwabską naturę” i zabronił wszelkich manifestacji narodowych.

Tego samego dnia matka wzięła siostrę i mnie do kościoła OO. Bernardynów.

Zastaliśmy dużo ludzi, ale docisnęliśmy się do ławki. W głównej nawie ustawiony był wysoki katafalk, na nim czarna trumna, nakryta wieńcem cierniowym ze spływającymi czarnymi wstęgami, na których wielkimi białymi literami wypisane były słowa: „Boże, zbaw Polskę!”

Stojąc w ławce rozejrzałem się po kościele, było mnóstwo pań i panów, prawie wszyscy czarno ubrani.

Nastrój był taki smutny, że chciałem płakać, a łzy ciekły mi z oczu wbrew woli.

Do wielkiego ołtarza podeszło dużo księży, wszyscy w czarnych ornatach. Zaczęły się egzekwie za pięciu poległych w dniu 7 kwietnia w Warszawie <sup>16</sup>.

Gdy u stóp trumny, otoczonej mnóstwem jarzących się świec, księża skończyli swe nabożeństwo, nagle wszyscy przy wtórze organów zaczęli śpiewać klęcząc: *Boże, coś Polskę...*

Znałem tę pieśń i słowa, bo matka i babka często ją śpiewały, ale posłyszana w kościele, przy takim katafalku, śpiewana przez setki ludzi z ogromnym przejęciem i łzami, wydała mi się modlitwą, która wprost idzie do nieba, i z wielkiego rozczenia zacząłem w głos płakać i szlochać. Dopiero groźba matki, że wyprowadzi mnie z kościoła, uciszyła do pewnego stopnia mój głośny płacz.

---

<sup>16</sup> Byli to: robotnik-metalowiec Karol Brendel, uczeń szkoły realnej Michał Arcichiewicz, szewc Adam Filipkiewicz oraz dwaj właściciele ziemscy — Marcelli Karczewski i Zdzisław Rutkowski. Data śmierci błędna: polegli 27 II 1861.

Z rozmowy rodziców przy wspólnej kolacji dowiedziałem się, że wszystkie Polki były, ale żadnej Niemki lub Czeszki.

Ten nastrój patriotyczny objawiał się w naszej szkole tym, że wbrew zakazowi dyrektora i mimo rozpędzania nas przez policję i strażników gromadziliśmy się przy kapliczkach i Mękach Pańskich za miastem i udekorowawszy je wieńcem cierniowym oraz wstęgą papierową czarną z napisem: „Boże, zbaw Polskę”, śpiewaliśmy *Boże, coś Polskę...* i *Chorał Ujejskiego*. W domu niemal codziennie słyszałem pieśni i brałem udział w śpiewaniu różnych pieśni patriotycznych i innych.

Babka, jak tylko wstała, śpiewała swym dość dźwięcznym, ale i pisliwym głosem: *Kiedy ranne wstają zorze...*, a w ciągu dnia: *Wilija, naszych strumieni...*, *Alpuharę*, *Kto me westchnienia, kto me łyzy...*, *Pada liście z drzewa...*, *Patrz, Kościuszko...*, ale też i o Ludgardzie, o czarnych krukach, o Ludmile...<sup>17</sup>

Pieśniami babki nie zachwyciałem się wcale, nudziły mnie, natomiast bardzo lubiłem nadzwyczaj miły i dźwięczny śpiew matki i prosiłem przy każdej nadarzającej się sposobności o pieśni, ale bo też matka umiała takie, które mnie zachwyciły, jak: *Nie wiem, jaka spadnie kara...*, *Za Niemen het precz...*, *O wolności i o stawie...*, *Bartoszu, Bartoszu...*, *Jeszcze Polska...*, *Hej koledzy...*, *Pamiętaj, żeś Polka...*<sup>18</sup> i wiele innych. Wszystkie niemal polskie patriotyczne pieśni, które nuciłem i znałem w życiu, pochodzą od matki z czasów przed- i powstaniowych.

W ogóle gdzie tylko bywaliśmy z rodzicami w mieście czy na wsi, nieodzowną częścią odwiedzin były w owym czasie chóralne pieśni patriotyczne, surowo zakazywane przez policję i starostwo powiatowe i obwodowe. Śpiewała jednak cała ludność mimo zakazów, pociągania do odpowiedzialności i kar pieniężnych. Na równi z innymi śpiewali te pieśni synowie i córki urzędników Niemców i Czechów, którzy mieli nas germanizować, i tak do gorących patriotów należał mój kolega Nahlik, syn starosty powiatowego, również Steingraberzy, Kaudelka, Schwesotka, Fruhwirth i inni.

Nadeszły wakacje.

<sup>17</sup> *Kiedy ranne wstają zorze...* — F. Karpińskiego; *Wilija, naszych strumieni...*, *Alpuhara*, *Któż me westchnienia, kto me łyzy policzy...* — fragmenty Konrada Wallenroda A. Mickiewicza; *Leci liście z drzewa...* — W. Pola *Śpiew z mogiły*; *Patrz, Kościuszko...* — R. Suchodolskiego *Polonez Kościuszki*; o Ludgardzie — zapewne *Duma Luidgardy, czyli Lukierdy* F. Karpińskiego; o czarnych krukach — może *Kruk. Piosnka litewska* W. Syrokomli; o Ludmile — B. Kicińskiego *Ludmiła w Ojcowie. Duma*.

<sup>18</sup> *Nie dbam, jaka spadnie kara...* — piosnka Feliksa z III cz. *Dziadów* A. Mickiewicza; *Za Niemen het precz...* — A. Bielowskiego *Rozłączenie*; *O wolności i o stawie...*, a właściwie: *O ojczyźnie i o stawie...* — W. Pola *Obóz moskiewski pod Kownem*; *Bartoszu, Bartoszu...* — *Krakowiak Kościuszki*, anonimowa pieśń z okresu insurekcji kościuszkowskiej; *Hej koledzy* — może *Hej koledzy! dalej w koto...*, anonimowa pieśń pt. *Hej! nadzieja jeszcze z nami!*; *Pamiętaj, żeś Polka...* — z *Pożegnania* J. N. Jaśkowskiego.

Matka z dziećmi, a było nas już troje, wyjechała, jak zwykle, na letnie miesiące do Spasa, wsi karpackiej za Starym Samborem, położonej nad Dniestrem, w okolicy bardzo ładnej. W Spasie mieszkał zarządca lasów rządowych, Niemiec Lesser Gustaw. Szczupły, bladeżółty człowiek z długimi siwymi faworytami. Żonę miał niską, tłuściutką, gadatliwą. Córka ich dorosła, panna Otylia, zaznaczyła się w mej pamięci jako wysoka, tęga i silna panna, która mnie dość pogardliwie traktowała, a jej brat Rudolf, uczeń gimnazjalny, nie chciał bawić się ze mną, a jeśli musiał ze względu na swych rodziców, to dawał mi uczuwać swą łaskę. Nie lubiłem tego domu i wypraszałem się od odwiedzin.

Z pobytu w Spasie pamiętam tylko jeden szczegół. Wraz z nami była w tej miejscowości Karolina Czaderska, ładna, wysmukła brunetka z matową twarzą. Mąż jej, Julian, był adwokatem i przyjaźnił się z ojcem, był to wesoły, bardzo miły człowiek, z brodą ciemną, rozwianą, jak mówił, rewolucyjną, ażeby drażnić wygolonych Szwabów.

Otóż matka i Czaderska ubierały się po kąpieli w Dniestrze, gdy nadszedłem przypadkiem i z rozkazu matki miałem się wykąpać. Rozebrałem się i niezdecydowany stałem nad zimną wodą. Wtem posłyszałem głos Czaderskiej:

— Tego synka to już pani podrzucono lub zamieniono, to przecież istna małpa — i zaśmiała się dźwięcznie i wesoło ze swego konceptu.

Co jej matka odpowiedziała, nie wiem, bo skoczyłem do wody. To określenie mnie jako małpy przez piękną panią Karolcię utkwilo we mnie i później spytałem:

— Mamo, czy ja naprawdę małpa?

— Ładny nie jesteś, ale i małpą nie jesteś, tylko człowiekiem, pani Karolcia żartowała.

Nie zapomniałem jednak tego żartu i gdy dawniej starałem się być blisko niej, słuchać jej dźwięcznego głosu i śmiechu, unikałem jej od tej pory, co zwróciło uwagę matki, i tylko raz mi powiedziała, gdy nie chciałem wejść do pokoju, w którym ona była:

— To niegrzecznie uciekać przed gośćmi.

#### W GIMNAZJUM

Mimo świadectwa z ukończonej czwartej klasy dopiero wstępny egzamin upoważniał do zapisu na ucznia gimnazjalnego.

Gimnazjum mieściło się w starym, obszernym, sklepionym na partezie budynku piętrowym. Dawniej była to pięcioklasowa szkoła jezuicka, założona w r. 1680. Po kasacji zakonu miasto utrzymywało tę szkołę, aż wreszcie w r. 1810 rząd austriacki objął zarząd gimnazjum.

Wśród nas, uczniów, utrzymywało się podanie, że szkoła ta zawsze była polską i tylko nieprawnie zagrabili ją Austriacy.

Po rannej mszy u Bernardynów wprowadzono nas do wielkiej, skle-

pionej klasy, pierwszej od wejścia na prawo, z trzema wielkimi oknami, umieszczonymi tak wysoko od podłogi, że nawet rosły uczeń nie mógł dojrzeć, co się dzieje na ulicy.

Egzamin wstępny był dla nas, czwartoklasistów, tylko formalnością. Najpierw jeden z uczniów przeczytał ustęp „aus dem Lesebuch”<sup>19</sup>, następnie egzaminujący pytał innych o treść, o zdaniach, o częściach mowy, koniugację, deklinację, pisownię tych i owych słów. Potem były pytania po niemiecku z rachunków, dodawanie, odejmowanie, mnożenie, dzielenie liczb całkowitych, wreszcie książkę na wrywyki pytał z religii.

Dyrektor Kościński, Rusin, blondyn z małym jasnym wąsem, szeroki w ramionach, starannie uczesany, w czarnym długim surducie, z pierścieniami na krótkich palcach, zawsze z łagodnym, lisim uśmiechem, przepatrujący z drwiącym niedowierzaniem każdego wstępniaka od stóp do głowy, odczytał nazwiska przyjętych do gimnazjum, mnie jednak nie wymienił. Czulem krzywdę, ale bałem się odezwać. Następnie odczytał listę nie przyjętych, bez mego nazwiska, wreszcie rzekł do mnie po niemiecku:

— *Du bist noch zu jung, dein Vater soll kommen*<sup>20</sup>.

Zmartwiłem się tym bardzo i z płaczem poszedłem do domu.

Na drugi dzień sprawa się wyjaśniła. Według przepisu wstępujący do gimnazjum powinien skończyć dziesiąty rok życia, zaś ja w sierpniu, czyli, ściślej mówiąc, osiem dni przed wstępnym egzaminem, skończyłem dziewięć lat. Ojciec wniósł wtedy podanie do dyrekcji gimnazjalnej z prośbą o przyjęcie mnie w poczet uczniów, o czym rozstrzygało grono nauczycielskie. Jednak przed otrzymaniem pozwolenia pozwolono mi uczęszczać na lekcje.

Z porady repetentów, a z pozwolenia uczniów wyższych klas, nie wolno było inaczej nazywać pierwszą klasę jak „*infima*”, drugą klasę „*secunda*”, trzecią „gramatyka”, czwartą „syntaksa”, piątą „poetyka”, szóstą „retoryka”, siódmą „fizyka”, ósmą „filozofia”. Te tradycyjne nazwy klas miały dowodzić, że to gimnazjum było i jest czysto polskie. Wprawdzie zakazano tych nazw, karano za odpowiedzi, jako oznakę krnąbrności i nieposłuszeństwa, ale rozkaz ogółu uczniów miał większą powagę od dyrektora i profesorów. Rusini nazywali klasy tak samo jak my, tylko Niemcy i Żydzi wyłamywali się z tej solidarności.

Gdy wszedłem do klasy, miałem wrażenie, że jestem wśród obcych. Wszyscy ci drągale ze szlachty zaściankowej i z przedmieszczan, do których widoku tak przywykłem, przestali chodzić do szkoły, natomiast bardzo dużo nowych kolegów, przeważnie synowie szlachty samborskiej, sanockiej, trochę przemyskiej i prywatyści, synowie urzędników z małych miasteczek.

<sup>19</sup> „Ze zbioru czytanek”.

<sup>20</sup> „Jesteś jeszcze za młody, niech przyjdzie twój ojciec”.

I co było bardzo przyjemne, że ta „*infima*” była zupełnie polską, bo wszystkich uczniów było przeszło pięćdziesięciu, a wśród nich Polaków 28, Rusinów coś trzynastu, a reszta Niemcy i Żydzi. Wiedliśmy rej w klasie nie tylko z powodu przewagi liczebnej, ale różniliśmy się od reszty wychowaniem i zamożnością.

Wszystkie przedmioty, z wyjątkiem religii i nieobowiązkowej nauki tz. „*Landessprache*”, wykładali po niemiecku profesorowie Niemcy, Czesi lub Rusini. Ci pierwsi nasi gimnazjalni profesorowie rozplývają się w mej pamięci w nieuchwytną szarzyznę, z wyjątkiem profesora matematyki, Franca Nacka, religii, ks. Podgórskiego, i języka polskiego, Bałuta.

Franc Nack był to Niemiec wysoki, gruby, z wielkim brzuchem. Wiecznie spocony latem czy zimą, wycierał łysinę i twarz wygoloną kraciastą, czerwonawą, wielką chustką i tą samą chustką wycierał okrągławy, bulwiasty nos z tabaki, którą namiętnie zażywał. Twarz miał pryszczatą i czerwone policzki, które nabierały barwy prawie granatowej, gdy się złościł, co zdarzało się bardzo często w klasie. Nosił obszerne, krótkie surduty, a od wiosny do późnej jesieni chadzał w białej kamizelce i białych, obcisłych spodniach, od których jaskrawo odbijały jego olbrzymie, czarne, sznurowane cizmy. Na głowie zimą czy latem nosił wysoki cylinder, a w ręku grubą laskę. Mieszkał na ulicy Drohobyckiej u wdowy Bulwanki i normalnie nazywaliśmy go Bulwą, tak z powodu kształtu nosa jak i nazwiska jego gospodyni. Profesor w klasie siedział na podwyższeniu prostokątnym, na gradusie, na którym było krzesło dla niego i mały stół. Otóż Nack, gdy zasiadł na krześle, kładł z lewej strony na stoliku tabakierkę czarną, okrągłą, rogową, a wytarłszy łysinę i twarz chustką kraciastą, odchrząkiwał i małymi, przenikliwymi oczyma, otoczonymi tłuszczem wodził po klasie, w której było cicho, jak makiem siał, i wołał grubym głosem wskazując otłuszczonym palcem w ten sposób:

— *Du, der dritten Bank, der vierte!*<sup>21</sup>

Wyrwany wychodził z ławki i stawał przy czarnej tablicy. Zaczynało się od łagodnych wymyślań, gdy odpowiedź była niedokładna, od słów:

— *Du Esel!... Du Taugenichts!... Du Schafskopf!*<sup>22</sup>

Gdy mimo tych upomnień uczeń nie umiał rozwiązać zadania, sypał wyzwiskami: *Schelm! Hallunke! Verfluchter Dumkopf*<sup>23</sup> itd., a słownik wymyślań miał obfity i przeplatał różnymi groźbami.

Sam, zapewne z powodu otyłości, nie ruszał się z krzesła, lecz kazał innym wywołanym uczniom, których nazwiska, często przekręcając, odczytywał ze swego czerwonego katalogu, błędy poprawiać.

<sup>21</sup> „Ty, z trzeciej ławki czwarty!”

<sup>22</sup> „Ty ośle!... Ty nicponiu!... Ty barania głowo!”

<sup>23</sup> „Szelma! Łotr! Przekłety głupiec!”

Nową zaś lekcję pisał na tablicy uczeń celujący w matematyce pod jego dyktandem.

Nie pozwalał namyślać się, nie ułatwiał w niczym, nie naprowadzał na rozwiązanie zadania, uczeń powinien był odpowiadać bez błędu.

System ten wprowadzał metodę „kucia”, uczenia się na pamięć, nie tylko matematyki, ale wszystkich przedmiotów, i „kujony” byli zawsze celującymi uczniami.

Być może, że system ten wobec wykładów w języku niezrozumiałym był do pewnego stopnia usprawiedliwiony, ale zabijał zdolności, inicjatywę i pomysłowość ucznia i raczej tamował, aniżeli rozwijał umysłowość skazanych na kucie.

Ksiądz Podgórski, katecheta gimnazjalny, niski, krępy, z laską żółtawą, trzciniową, opatrzoną białą główką, był porywczy, pochopny do głośnego gniewu, rzadziej do śmiechu. Wymagał dużo i żądał płynnej odpowiedzi, krzycząc:

— Uczcie się, smarkacze, bo tylko religia została wam po polsku.

Miał on tę wielką zaletę i zasługę, że pilnie zważał na czystość języka i akcent.

Unikaliśmy jak ognia iść ze spowiedzią do niego, bo krzyczał i wymyślał spowiadającego się, i gdy przy innych konfesjonalach cisnęli się, przy nim była pustka. Zwykle czekał jakąś chwilę cierpliwie na penitentów, wreszcie zrywał się, szedł do cisnących się przy innym konfesjonale i mówił:

— Cóż wy, jak owce głupie ciśnicie się tutaj — znakiem ręki dzielił uczniów na dwie części i kończył: — wy do mnie!

Czekał, póki wszyscy wyznaczeni przez niego nie stanęli przy jego konfesjonale i dopiero zasiadał do spowiedzi.

Zdarzyła mi się też niemiła przygoda przy spowiedzi wielkanocnej, do której poszliśmy do fary, a nie do kościoła Bernardynów, jak zwykle.

Chciałem się wyspowiadać u ks. Gruszczyńskiego, dawnego katechety, a takich jak ja było dużo. Stałem tedy w ogonku dalszym, czekając swej kolei.

Wtem podchodzi do mnie znany mi z widzenia uczeń z „gramatyki” i spytał, czy oddałem już swoją kartkę? Dla kontroli bowiem był zwyczaj, że spowiadający się uczeń składał przy klęknięciu kartkę ze swym podpisem na pulpit konfesjonala. Odpowiedziałem, że nie oddałem.

— To oddasz i moją — rozkazał mi ten z „gramatyki” wręczając swą kartkę.

Uważałem sobie za tak wielki zaszczyt przysłużyć się starszemu, z wyższej klasy, że z radością podjąłem się tego.

Zapewne musieli to dostrzec inni, gdyż wkrótce miałem prócz swojej pięć czy sześć kartek. Gdy przyszła kolej spowiedzi na mnie, ja zupełnie otwarcie, nie przeczuwając w tym nic złego, dołożyłem moje kartki do innych na pulpicie.

Ks. Gruszczyński widząc to zrobił głośną uwagę, co siedzący w pobliskim konfesjonale ks. Podgórski musiał posłyszeć, bo nazajutrz po egzorczie kazał mi zostać wraz z innymi, którzy coś zawinili.

Spytał mnie o przebieg sprawy i czy znam tych, którzy mi oddali swe kartki? Miałem już na tyle poczucia solidarności i wprawy, że upewniłem z całą wiarygodnością katechetę, że nie znam żadnego, a na pytanie:

— Dlaczego to zrobiłeś?

Odpowiedziałem, przypuszczam, że bezmyślnie, a może powtórzyłem gdzieś przeczytany frazes:

— Zrobiłem przez grzeczność.

— Nauczę ja ciebie „przez grzeczność!” — zawołał surowo i zaśmiał się zjadliwie, jak mi się zdawało.

Następstw innych tego przewinienia nie pamiętam prócz dokuczliwego powtarzania przy lada sposobności frazesu: „przez grzeczność”, nie tylko przez katechetę, ale, co było bardziej niemiłe, przez kolegów.

Nastrój patriotyczny i religijny wzrastał nieustannie. Polki chodziły w żałobie i prawie każda nosiła na szyi zawieszony czarny krzyżyk z cierniową koroną; paski z napisem: „Boże, zbaw Polskę”, pierścionki żałobne i żadnych balów, zabaw, wesołości.

Ten nastrój żałobny i religijny onieśmielał Niemców i Rusinów. Nawet wszechwładny starosta okręgowy Balko Jan stał się mniej groźny. Okręgów liczyła wówczas Galicja wschodnia dwanaście, a zachodnia pięć, więc okręg taki był bardzo poważną jednostką administracyjną, a jego starosta, „*Bezirkvorsteher*”<sup>24</sup>, posiadał władzę b. obszerną. Jan Balko, sztywny Niemiec, z twarzą wygoloną, zawsze chmurny i poważny, opierając się na lasce przechadzał się po mieście z miną satrapy i zwycięzcy. Wszyscy uczniowie bez wyjątku byli obowiązani kłaniać mu się, na co on ledwie widocznie kiwał głową, lecz gdy który zaniedbał ukłonu, podnosił głos komendy:

— *Mütze* — albo też: — *den Hut ab!*<sup>25</sup>

W roku 1861 i 1862 zdarzały się dosyć często, przynajmniej w naszej klasie, wypadki zaniedbywania ukłonu i, jak zauważyliśmy, Balko coraz rzadziej kazał zdejmować nakrycie głowy i mniej spacerował po mieście, ale gdy wychodził, był jak zawsze sztywny, dumny, nieprzystępny.

Niemal każdy z nas poczuwał się do obowiązku posiadania zeszytu lub książeczki z przepisanyymi śpiewami patriotycznymi i żałobnej książeczki do nabożeństwa, w której wpisywało się modlitwy patriotyczne. Co do tych książeczek z modlitwami to panowała wśród nas rywalizacja co do grubszej żałoby na okładce, złożonych brzegów, piękniejszego papieru i ilości modlitw. Wszystkie one miały jeden jedyny cel: uprosić,

<sup>24</sup> Naczelnik okręgu.

<sup>25</sup> „Czapkę”, „kapelusze zdjąć!”

ubłagać, wyżebrać u Pana Boga zwrócenia nam Polski wolnej i niepodległej.

Ks. Jan Głębocki, cioteczny brat ojca, przyjechawszy w odwiedzinach do nas przywiózł mi książeczkę do nabożeństwa, oprawną w czarną skórę z wyciśniętym krzyżem i cierniową koroną, a drukowaną w Warszawie w r. 1861. Były w niej same tylko patriotyczne nabożeństwa. Duma moja i radość z posiadania takiej książki były nadzwyczajne, zwłaszcza po wrażeniu, jakie zrobiła w klasie. Niemal jak coś świętego i bezcennego dotykano tej książeczki i szły szeptem pełne czci i zachwytu: „z Warszawy”, Warszawa bowiem w naszym pojęciu była wzniosłą, wspaniałą, świętą męczennicą, w której połała się niewinna krew pięciu poległych i tylu, tylu katowanych przez Moskali. Z kilku przyjaciółmi umówiliśmy się, że będziemy się modlili wspólnie z tej warszawskiej książki, ale gdzie? u kogo? — bo był to początek słotnego listopada. Janicki ze Sanockiego, kościsty, nad wiek wyrośnięty chłopak, który nie mogąc z powodu surowego zakazu nosić stroju polskiego, miał na sobie prócz paska patriotycznego pod kamizelką zawsze, zimą czy latem, *tz. polskie buty z cholewami*, fałdującymi się od kostek prawie do kolan, ten dowiedział się o naszym projekcie. Zapalił się do wspólnego czytania, ofiarował swoją stancję, wolną od godziny czwartej do szóstej, i zachęcił mnie, ażebym namówił Władka Szybińskiego ze syntaksy do uczestnictwa. Ten Władek był moim znajomym, bywał u nas, bo nasi ojcowie byli w jakimś powinowactwie, ale trzymał się z daleka od infimisty. I tym razem odmówił, zebraliśmy się w ośmiu. Będąc chłopcem wymawiałem błędnie literę *r*, czasem brzmiała jak *erl*, a czasem jak ostra: *h*. Ledwie zacząłem czytać, powstała opozycja, oddałem tedy książkę Osuchowskiemu ze Sanockiego. Ten znów literę *ł* wymawiał jak głębokie *u*. Janicki odebrał mu książkę mówiąc:

— Złamanym językiem nie czyta się nabożeństwa — i sam odczytywał.

To jego powiedzenie o złamanym języku rozpowszechniło się, i o tych, którzy błędnie wymawiali jakąś literę, mówiliśmy, że mają złamany język.

W tym czasie zauważyłem, że u nas w domu często bywają goście, przeważnie mężczyźni. W czasie tych wizyt matka z nami siedziała w pierwszym jadalnym pokoju, my odrabialiśmy lekcje szkolne, a matka coś szła czy naprawiała. Dopiero gdy proszono tych panów na obiad lub kolację, siedzieliśmy wszyscy przy stole. Słyszałem nazwiska panów, a niektórych znałem dawniej, jak Szybińskiego, Czaderskiego, Matkowskiego ze salin w Stebniku, Jackowskiego ze salin drohobyckich, ks. gwardiana bernardynów z miłym i ujmującym uśmiechem; ale byli tacy, których znałem tylko nazwiska, jak Ujejskiego, brata poety, Komorowskiego, Sozańskiego, Barańskiego z Radłowic, Uberskiego, i inni, których zapomniałem. O czym mówili i nad czym radzili, nie wiedzia-



łem, bo nigdy o tym przy mnie nie mówiono, dopiero w r. 1863, gdy wybuchło powstanie, zrodził się u mnie domysł, że były to sprawy narodowe.

Czasem zjawiał się u nas jakiś nieznajomy pan i matka kazała mi iść do biura ojca, ażeby zaraz przyszedł. Raz, wysłany, wpadłem do biura ojca, gdzie zastałem Linharda, radcę i dyrektora Dyrekcji skarbowej, zarazem przełożonego ojca. Nie zważając na niego wyrecytowałem polecenie matki.

— *Was spricht der Junge?* <sup>26</sup> — spytał ojca Linhard.

Ojciec odpowiedział po niemiecku, ale na tyle już rozumiałem, że pewno przyszedł doktor do chorej żony i z tego powodu mnie wysłała.

Gdyśmy byli na ulicy, ojciec zwrócił mi uwagę, ażebym przy Szwabie nie mówił o domowych sprawach.

Ten rozkaz mnie zdziwił, bo Linharda, ojca Hunia, nie uważałem za złego Szwaba. Bywaliśmy u nich co pewien czas z matką, nigdy z ojcem, więc znałem go. Był to bardzo szczupły, wysoki Niemiec, z twarzą żółtawoblądą, ze smutnymi, wyblakłymi, niebieskawymi oczyma. Lekko pochylony, miał zawsze zarzucony na plecach ciepły szkocki szal, tań żółte, chude ręce i nam się zdawało, że zawsze mu zimno. Gdy matka spytała go o zdrowie lub gdy zakaszłał się i powiedział coś niekorzystnego o swym zdrowiu, żona jego, tłustawa, wesoła kobieta, zawsze i nieodmiennie zwracała się do niego i tonem najzupełniej obojętnym recytowała jak wyuczona papuga:

— *Anton, sprich nicht so, du weiss, wie ich dich liebe* <sup>27</sup> — i natychmiast zwracała się po polsku z wesołym uśmiechem do nas, dzieci, lub do matki, kończąc przerwana rozmowę.

Te jej słowa były dla nas tak zabawne, że przekomarzając się ze sobą używaliśmy tego frazesu, ku wielkiej naszej ucieście.

W tej klasie będąc, poznałem po raz pierwszy poemat polski, który po dziś dzień pozostał dla mnie jednym z najulubieńszych.

Do tej pory znałem i umiałem różne drobne wiersze, jak o *Zdrowiu Kochanowskiego*, *Powrót taty*, *Brzoza gryżyńska*, *Ballada, jakich wiele* <sup>28</sup> itp. Podobały mi się, deklamowałem, ale żaden nie zachwyił mnie.

Aż jednego razu, w grudniu 1861 r. przed Bożym Narodzeniem, nie wiem już, z jakiego powodu, otworzyłem szafę z bielizną stojącą w sypialni matki i na jednej z półek zobaczyłem normalnie złożone chusteczki matki, a na samym wierzchu chusteczkę z wydrukowanym obrazkiem, zaś pod nim czterowiersz. Wziąłem do ręki. Obrazek był bardzo ładny, jakiś starzec w polskim stroju trzymał na kolanach karabelę, obok niego

<sup>26</sup> „Co mówi ten chłopiec?”

<sup>27</sup> „Anton, nie mów tak, wiesz, jak cię kocham”.

<sup>28</sup> *Brzoza gryżyńska* F. Morawskiego; *Ballada, jakich wiele* J. N. Jaśkowskiego.

stała pod drzewem postać niewieścia, bardzo ładna i smutna. Odczytałem wydrukowany czterowiersz:

Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,  
Niż żeby mi tak marnie wędnieć miała córka!  
Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,  
Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby!

Byłem olśniony i zachwycony wierszami, te więzy to jasyr turecki, o którym czytałem w „Przyjacielu Ludu”, a niewiadomość znaczenia słowa „tiumra” dodawała coś niezwykłego i tajemniczego.

Dwie następne chustki miały ten sam obrazek i te same wiersze, dopiero czwarta z rzędu posiadała obrazek inny. Stał tam rycerz w zbroi husarskiej, obok niego ta sama postać niewieścia co na pierwszej chusteczce. Wiersze były następujące:

Czy Maria ciebie kocha? Mój drogi, mój miły!  
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły,  
Więcej niż wątle serce, gdy jemu już zadość,  
Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość<sup>29</sup>.

Ten rycerz podobał mi się bardzo, ale wiersze nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia, nie rozumiałem, co to jest miłość, i jako infimista, mężczyzna, nie lubiłem czułości, a gdy Minia Linhardówna miała mnie za fant pocałować, uciekłem z pokoju, co prawda, nie lubiłem jej.

Po obejrzeniu tych chusteczek pobiegłem do matki z prośbą, ażeby mi jedną podarowała. Na razie odmówiła, ale w jakiś czas dała mi i opowiedziała treść poematu *Marii*. Byłem bardzo przejęty losem Marii, a dowiedziawszy się, że była to Gertruda Komorowska, uważałem pana Komorowskiego, który był kilka razy u nas, za krewnego Marii i patrzyłem na niego z wielką czcią.

Po przeczytaniu *Marii*, którą dostałem na gwiazdkę, pragnąłem usilnie poznać inne dzieła poetyckie i matka była skłonną do pozwolenia, ale ojciec zabronił, póki nie otrzymam świadectwa do „sekundy”.

Nadeszły wakacje i wyjechaliśmy z matką jak zwykle do Spasa, do którego zjechali także liczni nasi znajomi. Prócz pani Czaderskiej był brat jej męża, inżynier, który świeżo powrócił z Francji, wesoły, dowcipny, zawsze uśmiechnięty i przyjaciel jego pan Romuald, nazwiska nie pomnę, wysoki, szczupły, z krótką czarną brodą, ubrany bardzo starannie, smutny i poważny, który w r. 1863 zginął pod Miechowem. Przyjechał też profesor Sobieski ze Lwowa z rodziną i profesor Zygmunt Sawczyński<sup>30</sup>, obydwaj zaprzyjaźnieni z ojcem. Dostyc gości było takich, których tylko nikłe, mgliste sylwetki zostały mi w pamięci, a z całego

<sup>29</sup> Fragmenty *Marii* A. Malczewskiego. Drugi wers pierwszego cytatu winien brzmieć: „Niż żeby mi tak marnie miała wędznąć córka”.

<sup>30</sup> Zygmunt Sawczyński (1826—1893) — filolog i historyk, nauczyciel gimnazjum w Samborze (1861—1862), od r. 1866 poseł na sejm galicyjski.

ówczesnego towarzystwa został mi bardzo wyraźny, jasny i miły obraz panny Olimpii, lwowianki. Jak się nazywała, z kim przyjechała do Spasa, na razie modnego letniska z powodu piękności położenia, kąpieli w Dniestrze i żętycy, podówczas uniwersalnego lekarstwa na wszystkie choroby, tego nie pamiętam. Wiem, że mieszkała w niedalekim sąsiedztwie od nas, dość często przychodziła do matki i siadywały na ławce ganku ocienionego pnącą, bujną fasolą, której białe i czerwone kwiaty mnie zachwyciły.

Gdy wspomnę te czasy, postać panny Olimpii staje jak żywa przed oczyma. Średniego wzrostu, zawsze czarno ubrana, kołnierzyk bluzki spięty czarną broszką w kształcie cierniowej korony z napisem białym, zdaje się srebrnym: „Boże, zbaw Polskę”, na szyi czarny krzyżyk, na pasku u spięcia był portret Kościuszki, a na palcu żałobny pierścionek. Ciemna szatynka, z niebieskimi, lekko wypukłymi oczami, z twarzą bladawą, łagodną, dobrą, z bardzo miłym uśmiechem na pięknych ustach. Nie pamiętam, ażebym ją kiedy widział zniecierpliwioną, chmurną, zawsze była pogodna i dobra. Przypuszczalnie liczyła wtedy lat dwadzieścia, w każdym razie uważałem ją za dorosłą, poważną osobę, gdy moją starszą siostrę i bardzo ładną jej przyjaciółkę Halę Szybińską traktowałem lekceważąco jako „kozy”, złośliwe przezwisko gimnazjalne na panny, podlotki.

Pozwalała mi dość często towarzyszyć sobie na spacerach, czytywała mi poezje, zwłaszcza Bohdana Zaleskiego, i darowała mi ładnie oprawiony tom poezji jego, który długi, długi czas był dla mnie najmiłszą książką i bardzo znaczną część jego poezji umiałem na pamięć.

Ten mój zachwyt dla niej był powodem niejednej goryczy. Pani Czaderska nazywała ją stale w mojej obecności „archanielską panną”, siostra moja i jej przyjaciółka Hala Szybińska, która jakiś czas bawiła u nas, wyśmiewały moje, jak mawiały, „cielęce przywiązanie”, nawet matka groziła mi z uśmiechem: „ej, bo powiem pannie Olimpi”. Były to przykrości, znosiłem je jednak prawdopodobnie dość spokojnie, bo nie zostawiły żadnej goryczy, ale naprawdę cierpiałem z powodu mej zadróżki o pana Romualda i Czaderskiego.

Zwykle, o ile była pogoda, szedłem na spacer z panną Olimpią, a prawdopodobnie częściej sam ją wyszukiwałem, zwłaszcza na Zamkowej Górze, porosłej świerkami, z licznymi, dobrze utrzymanymi drożkami i ławkami. Tam siadywaliśmy, czytali albo też ona opowiadała mi straszne historie o znęcaniu się Moskali i Austriaków, ale to trwało tylko do przyścia pana Romualda albo Czaderskiego. Wówczas oni prowadzili z nią rozmowę, a zwłaszcza pan Romuald, wprowadzie w polskim języku, ale tylko coś nie coś, a naprawdę nic nie rozumiałem. Zawsze jednak byłem w jej pobliżu, ale najczęściej albo mnie wysyłano po coś do domu, na dół, albo też kazano mi pilnować robótki czy książki na ławce, a oni szli dalej, w górę.

Byłem za młody i za mały, miałem lat jedenaście, ażebym cokolwiek rozumiał, co miłość, romans, umizgi, a sam nie cierpiałem czułości, więc o właściwym uczuciu zazdrości o nią mowy nie było, ale pamiętam uczucie krzywdy, która mi się dzieje, i upokorzenia, że nie dopuszczają mnie do swego towarzystwa, zaś jako sprawcę tej przykrości uważałem pana Romualda lub Czaderskiego i z tego powodu nie lubiłem obydwóch i miałem głęboki żal do nich.

Z chwilą jednak przyjazdu do Sambora i rozpoczęcia nauki szkolnej zatarły się wrażenia wakacyjne, przyszły bowiem o wiele ważniejsze sprawy, a mianowicie zmiana profesora łaciny i języka niemieckiego. W „infimie”, czyli w pierwszej klasie uczył tych przedmiotów ksiądz greckokatol. Hyczko, który nas wymyślał, groził, ale ostatecznie, po godzinie lekcji, na kurytarzu można było rozmówić się z nim po polsku, wytłumaczyć lub usprawiedliwiać i przy zakończeniu kursu nie sypał tak dalece dwójkami.

W „sekundzie” zamiast ks. Hyczki miał nas uczyć tych przedmiotów i być gospodarzem profesor Achtleitner, o którego surowości i złośliwości opowiadali dawni jego uczniowie z „gramatyki” i „syntaksy” różne dziwy, chociaż uczył ich, jako świeżo przybyły, tylko jedno półrocze.

Poprzedzony sławą surowego i bezwzględного profesora, wszedł do naszej klasy na drugą godzinę. Wstaliśmy z ławek, jak zwykle przy wejściu i wyjściu profesora, i nastąpiła głęboka cisza, zaciekawieni patrzyliśmy na niego.

Wzrostu był niskiego, szczupły, z twarzą piegowatą, włosy dosyć krótkie były paląco rude, wąsy wygolone i nosił dość długie rude faworyty, które odruchowo gładził i skręcał lewą ręką. Oczy miał przenikliwe, niebieskozielonkawe, a około nich uśmiech, który stawał się bardziej złośliwy i drwiący, im gorzej uczeń odpowiadał. Ubrany był starannie i nosił wysokie obcasy.

Wstąpił na gradus, cylinder i laseczkę złożył na stole, spojrzął po milczącej klasie i dał znak ręką, ażebyśmy usiedli.

W kilku frazesach powiedział, co powinniśmy umieć z gramatyki łacińskiej po skończeniu pierwszej klasy, i zaczął pytać. Palcem wskazał na prymusa w naszej klasie. Był to Pohorecki, syn księdza ruskiego, „popowicz” w gwarze klasy, pierwszy kujon, wobec profesorów zawsze słodko uśmiechnięty, potulny i usłużny; w stosunku do kolegów dumny i nieprzystępny. Nie lubiliśmy go, ale że często z polecenia profesorów, a zwłaszcza gospodarza klasy, pełnił obowiązki dozorczy klasy w czasie przygodnych pauz, odnosiliśmy się do niego z bierną niechęcią.

Na pierwsze pytania odpowiedział bardzo dobrze, ale na wyjątkach trzeciej deklinacji utknął. Achtleitner spojrzął na niego surowo i zawołał:

— *Esel!* — ręką wskazał na innego ucznia, mówiąc: — *du, weiter!*<sup>31</sup>

<sup>31</sup> „Osioł!”, „ty, dalej!”

Reguł gramatycznych i wyjątków nauczyliśmy się w rymowanych wierszach, Pohorecki przypomniał sobie zapomniany wiersz i wyrecytował.

— *Schweigen!* — syknął Achtleitner — *has schon ungenügend!*<sup>32</sup>

I chociaż nie lubiliśmy Pohoreckiego, ta uwaga profesora wydała się nam niesprawiedliwą i padł strach na klasę, że dwójki będą się sypały.

Achtleitner był istotnie surowy i wymagający, wierszowane reguły i wyjątki z gramatyki łacińskiej musieliśmy recytować bez zająknięcia, ale też nauczyliśmy się dużo i pamiętaliśmy wiersze nawet po skończeniu gimnazjum\*.

[LATA UNIWERSYTECKIE]

Nauki prawa nie lubiłem, a na wydział prawa zapisałem się na wyraźną wolę ojca. Żaden, ale to żaden z profesorów na wydziale prawa nie wyjaśnił nam, słuchaczom, wielkiego znaczenia ustanowienia praw w dziejach ludzkości i cywilizacji, ani też dr Piętaś<sup>33</sup>, który wykładał pandekta<sup>34</sup>, nie zwrócił naszej uwagi na doskonałość, zwięzłość i piękno prawa rzymskiego. Kuliśmy, jak bywało w gimnazjum, na pamięć pandekta, prawo kanoniczne i prawo niemieckie, kolokwium i pierwszy byle zdać egzamin prawniczy, *tz. historyczny*.

Nie lubiłem też moich kolegów prawników, uważając ich za karierowiczów i urzędników przyszłych, którzy naukę uważali tylko za dojną krowę. Natomiast przyjaźniłem się gorąco i z wylaniem, jak to bywa w młodości, z kolegami z wydziału filozoficznego i prócz godzin obowiązkowych prawa byłem pilnym słuchaczem prof. Małeckiego Antoniego, wykładającego literaturę polską, i prof. Ksawerego Liskiego, historyka, który przy głębokiej wiedzy mówił pięknie i płynnie.

W życiu akademickim prawnicy tworzyli prawicę, zaś słuchacze filozofii lewicę i bywały bardzo gorące i namiętne dyskusje, gdy przyszły pod obrady sprawy związane chociażby bardzo luźno z Kościołem, przywilejami szlachty, urzędników lub wojska. Jednak w sprawach narodowych byliśmy jednomyślni i zgodni.

Pamiętam np. sprawę braci Friedmanów czy Friedbergów, prawników, przyjemnych i lubianych dla zalet koleżeńskich i patriotyzmu. Ojciec ich był założycielem i prezesem, jeśli się nie mylę, Banku Ludowego czy też Włościańskiego<sup>35</sup>. Wtem gazety doniosły o strasznym wyzysku

<sup>32</sup> „Milczeć!”, „już masz niedostatecznie!”

\* W tym miejscu urywa się rękopis, dalszy tekst podajemy w oparciu o maszynopis.

<sup>33</sup> Leonard Piętaś (1841—1909) — profesor prawa rzymskiego, handlowego i wekslowego na Uniwersytecie Lwowskim od roku 1870. W 1893 poseł do parlamentu, w latach 1900—1907 minister dla Galicji.

<sup>34</sup> *Pandectae (Digesta)* — zbiór fragmentów pism jurystów rzymskich, część *Corpus Iuris Civilis*.

<sup>35</sup> Autor ma na myśli zapewne dra praw, Jana Frieda, współzałożyciela Banku Włościańskiego (właściwa nazwa: C. K. Uprzywilejowany Galicyjski Zakład Kredytowy Włościański, 1868—1884).

chłopów przez ten bank, który za bezcen nabywał gospodarstwa chłop-  
skie. W Czytelni Akademickiej<sup>36</sup> zapadła uchwała, ażeby obydwóch  
Friedmanów wykluczyć z Czytelni z powodu postępowania ich ojca.  
Friedmanowie i część prawników zaprotestowała przeciw tej uchwale,  
odwołując się do Zgromadzenia Ogólnego. Ale i na Zgromadzeniu, gdy  
Engel, prawnik, syn zegarmistrza, przedstawił ujemną działalność tego  
banku, uchwalono bardzo znaczną większością wykluczenie obydwóch  
braci nie tylko z Czytelni, ale i ze stosunków koleżeństwa, tyle tylko  
uprosili Friedmanowie, że tej uchwały nie zapisze się do *Księgi proto-  
kółów* ku wiecznej rzeczy pamiętce i nie poda się do gazet, oni zaś prze-  
nieśli się na uniwersytet wiedeński.

W r. 1874, gdy byłem na trzecim roku praw, umarł mój ojciec, Win-  
centy. Nie byłem przy jego śmierci ani na pogrzebie i zawsze czuję  
gorzkie wyrzuty sumienia, że nie spełniłem tego obowiązku miłości  
względem ojca, który mnie szczerze kochał.

Nawet w ostatniej swej chorobie, wodna puchlina, na którą umarł,  
widząc, jak pragnę wyjechać do Lwowa, wręczył mi pieniądze na drogę  
i powiedział mi z wielką dobrocią: „Chciałbym, ażebyśmy się jeszcze  
zobaczyli, ale wątpię”. A mimo to pojechałem.

Po śmierci ojca uczułem się zwolniony z danego przyrzeczenia, że  
skończę prawo, i postanowiłem zająć się historią Polski. Sława profesora  
J. Szujskiego była głośną i zdaniem moich kolegów historyków wykłady  
i kierownictwo prof. Szujskiego były konieczne przy studiach nad histo-  
rią Polski.

Ze Lwowem nic mnie nie wiązało, w Krakowie miałem siostrę za-  
mężną za Janem Krumłowskim, wyższym urzędnikiem Dyrekcji Skarbo-  
wej, umyśliłem tedy przenieść się na Uniwersytet Krakowski i jesienią  
1874 zjechałem do Krakowa.

Stosunek mój do szwagra do tej pory był dobry, nawet serdeczny,  
gdy jednak dowiedział się, że przyjechałem do Krakowa na stałe, praw-  
dopodobnie z obawy, ażeby nie korzystał z jego gościnności, już na  
drugi dzień był chłodny dla mnie, a opryskliwy dla siostry. Toteż na  
trzeci dzień po przybyciu wziąłem pierwszą lepszą stancję i przeprowa-  
dziłem się natychmiast.

Był to ciemnawy, wilgotny pokój na parterze od podwórza, przy  
ulicy Zwierzynieckiej. Mieszkałem tz. kątem, czyli dostałem łóżko, stolik  
i krzesło w rogu tej izby, a oprócz mnie było trzech współlokatorów,  
z których jeden utkwiał mi w pamięci. Był to młody, cichy, ustępliwy  
malarz pokojowy, chory na suchoty. Dwaj inni pracowali w handlu  
i prawie ich nie znałem.

---

<sup>36</sup> Czytelnia Akademicka we Lwowie, 1867—1923. Posiadała pokaźny księgo-  
zbiór, a ponadto organizowała wieczory literackie i muzyczne oraz przedstawienia  
teatralne, z których dochód, obok składek członkowskich i finansowego poparcia  
osób prywatnych, stanowił źródło jej utrzymania.

Stancja ta o tyle była mi dogodną, że nikt mnie nie kontrolował, jak żyję i czym się odżywiam, a fundusze moje były bardzo skromne, gdyż po śmierci ojca, a przy małoletności pięciorga dzieci<sup>37</sup> majątek, składający się z trzech kopalni nafty i jednej kopalni wosku ziemnego, domu mieszkalnego, stajni, wozowni, szopy i kawałka, coś około pół morgi, gruntu, a który był własnością ojca i jego współnika, niegdyś stróża w kamienicy ojca, Lejzora Gartenberga, był administrowany przez kuratora wyznaczonego przez sąd i wszelkie dochody szły na utrzymanie młodszego rodzeństwa.

To mieszkanie kątem trwało zaledwie tydzień, a koledzy, z którymi się poznałem w Czytelnicy Akademickiej, byli nim zgorzeleni. Jeden z nich, Walenty Chwaścik, prawnik z pierwszego roku, prawie zmusił mnie do przeprowadzenia się do jego stancji. Zajmował on mały pokójeczek na poddaszu na Grzegórkach. Nazywaliśmy go „Tatar” z powodu wystających kości policzkowych, małych oczek i wklęsłego nosa, był dobry, usłużny, trochę rubaszny i głośny. I byłbym z nim żył dłużej zgodnie i przyjaźnie, gdyby nie jego mania opiekowania się mną i kontrolowania moich czynności tak w domu jak poza domem, nie oszczędził mi przy tym przestróg, bardzo często zabawnych i chłopięcych, zwłaszcza względem panien był bardzo podejrzliwy, bo według niego każda stara się tylko usidlić „akademika”, zmusić do żeniaczki, a potem: „haruj całe życie na nią!”

Po naradzie z kolegami zapisałem się na wykłady historii prof. Szujskiego i Wincentego Zakrzewskiego, na literaturę polską Tarnowskiego, na niemiecką prof. Bratranka, autora pracy: *Zwei Polen in Weimar* (Mickiewicz i Odyniec)<sup>38</sup>, i wreszcie na *Starożytności Polski* prof. Józefa Łepkowskiego<sup>39</sup>.

Co do wartości tych wykładów o „starożytnościach” zdania moich doradców były \* podzielone, jedni zarzucali im powierzchowność, rozwodzenie się nad drobnostkami bez znaczenia; drudzy chwalili patriotyzm i ukochanie przeszłości. Ostatecznie zapisałem się na te wykłady.

Profesor Szujski, wysoki, trochę pochylony, z twarzą poważną, przyjazną, miał pełny zarost, lekko siwiejący; wchodził na salę wykładową

<sup>37</sup> Prawdopodobnie chodzi nie o „małoletność”, lecz o niesamodzielność finansową. Pisarz istotnie miał pięcioro rodzeństwa, ale Kazimiera była już wówczas dorosła i zamężna, pozostałymi zaś: Julią, Tadeuszem, Benedyktem i Marią, po śmierci ojca zaopiekował się krewny matki, Herman Löbl.

<sup>38</sup> Franciszek Tomasz Bratranek (1815—1884) — augustinianin, od r. 1851 profesor języka i literatury niemieckiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, w latach 1866—1867 jego rektor. Praca *Zwei Polen in Weimar* (1829) (Wien 1870) dotyczy pobytu Odynca i Mickiewicza w Weimarze podczas uroczystości 80-lecia Goethego.

<sup>39</sup> Józef Aleksander Łepkowski (1826—1894), przewodniczący Komisji Archeologicznej AU, rządowy konserwator zabytków sztuki dla Krakowa i Galicji Zachodniej, założyciel katedry archeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim (1866).

\* Od tego miejsca podajemy tekst ponownie w oparciu o rękopis.

spokojnie, kładł na katedrze książkę lub skrypta, rozejrzał się po sali i najczęściej stojąc przed pierwszą ławką rozpoczynał wykład. Nie posiadał olśniewającej wymowy, nie używał ładnie brzmiących frazesów, a gdy zaczynał mówić, zdawało się, że brak mu słów, wahał się w doborze wyrazów, czasem trudno było pochwycić na razie wątek jego myśli, ale to krótko trwało i gdy raz ujął rzecz samą, mówił płynnie, wyraźnie, głosem dźwięcznym, podkreślał ważniejsze szczegóły i wykład stawał się jasny, przejrzysty, logiczny i chwilami porywał nas swym zapałem i nadzwyczajną erudycją.

Przy zdawaniu kolokwiów pytał łagodnie, z wyrozumiałością i zawsze bardzo chętnie i przyjaźnie udzielał rad, wskazywał źródła, naprowadzał na właściwą drogę pracujących nad rozprawą historyczną wskazaną przez niego.

Profesor Tarnowski był zupełnie inny i gdy prof. Szujskiego wszyscy lubiliśmy i szanowaliśmy, prof. Tarnowski miał swych gorących zwolenników, niezbyt licznych, ale też dużo niechętnych, krytykujących surowo i jego wykłady, i jego zachowanie, zresztą zawsze wyszukanie grzeczne z odcieniem łaskawości, co wielu drażniło.

Wykładał w godzinach popołudniowych w Collegium Phisicum od ulicy Św. Anny, w pierwszej sali na parterze z lewej strony. Do sali wchodził szybkim, nerwowym krokiem, ubrany i uczesany zawsze bardzo starannie, stawał na katedrze, skinieniem głowy witał słuchaczy, prawie zawsze dość licznych, kładł kapelusz, książkę lub notatki z prawej strony, wyjmował złoty zegarek z łańcuszkiem z kieszeni kamizelki, spojrzął na godzinę i kładł na lewej stronie pulpitu katedry. Miał zwyczaj przyglądania krótko ostrzyżonej, ciemnej brody białą ręką, ozdobioną obrączką ślubną i pierścionkiem, i po bardzo krótkim wstępie w rodzaju: „Mówiliśmy poprzednio...”, lub: „Z kolei rzeczy dziś zajmiemy się...”, rozpoczynał wykład.

Mówił płynnie, wyraźnie, lubił gładkie, toczone frazesy i można było wyczuć, że je układał starannie, pilnował w końcu dłuższego okresu, ażeby zakończenie było błyskotliwe i niespodziewane przez słuchaczy, najczęściej używał w tym celu porównań niezwykłych. Wykład jego nosił zawsze na sobie cechę deklamacji z estrady koncertowej. Ulubionym zwrotem jego było wtrącanie sił niezmiernych: Pana Boga, Opatrzności, wyroków Boskich, zmiłowania, do faktów historycznych czy to z dziejów Polski, czy też literatury... „Bóg nam dał takiego króla...”, „Opatrzność zrządziła...”, „Widać nie było zgodne z wyrokiem Opatrzności...”, „Nie byliśmy godni zmiłowania...” Używał też w swym języku wykładowym dużo, może za wiele, słów i określeń przyswojonych z obcych języków, co mu może za surowo wytknięto w Warszawie, gdy miał odczyt o *Panu Tadeuszu* na Osady Rolne <sup>40</sup>.

<sup>40</sup> Odczyty te wygłoszone zostały w sali ratuszowej 9, 11 i 12 kwietnia 1879.



Dowcip jego był zawsze dyskretny, wycieniowany w tonie powiedzenia i poparty wyborną wstrzemięźliwą mimiką, np. przy rozbiórce powieści, nie pamiętam autora: „On był bez lewej ręki, gdzie i jak ją utracił... nie wiem. Ona była cała, jak zapewnia autor. I on, i ona przeszli do ciemnego pokoju. Co tam robili? Nie wiem... ale autor zapewnia, że nic zdrożnego, bo gdy wyszli, on na swojej jednej ręce miał jej pierścionek. Jak to się stało? Nie wiem... musiała mu sama włożyć, bo on miał tylko jedną rękę”.

Po wykładzie zwykle czekała na niego przed Collegium jego żona, z domu Branicka, młoda, ładna, w powozie lub w karecie i oboje odjeżdżali. Ci i owi kłaniali się jej, co ona przyjmowała wdzięcznie z miłym uśmiechem.

Mickiewicza jako poetę uznawał prawie bez zastrzeżeń, lecz do jego politycznej działalności i towianizmu odnosił się krytycznie. Słowackiemu nie odmawiał talentu, ale jego zdaniem, używał go często niewłaściwie, a nawet nadużywał. Krasiński był bez zarzutu, bez skazy, „geniusz w marmurze”, i naprawdę bardzo pięknie deklamował na wykładzie ustępy z *Irydiona* i *Nie-Boskiej komedii*, Pola, Lenartowicza, Ujejskiego nie lubił. W sądach swych był stronny.

Wielkiego hałasu w swoim czasie narobił jego artykuł w „Przeglądzie Polskim” (?) pt. *Porcje*<sup>41</sup>, w którym surowo potępił postępowanie szlachty podolskiej, płacącej chłopom za roboczną kwitkami. Podolacy poruszyli tę sprawę na sejmie, piorunując na „czerwonego hrabiego”, chociaż naprawdę Tarnowski należał z przekonań polityczno-społecznych do najbielszych. Ta obrona robotników i chłopów przeciw wyzyskowi szlachty była dla nas, studentów, jedną z wielkich zalet prof. Tarnowskiego i zaważyła na jego korzyść, gdy przyszło do nieprzyjaznej manifestacji.

Przy wykładzie o *Psalmach* Krasińskiego, mówiąc o wrażeniu, jakie one wywarły, wspomniał o odpowiedzi Słowackiego i z książki ją odczytał, a następnie z miną pogardliwą i obrzydzoną prawie rzucił książeczkę na pulpit mówiąc, że Słowacki wobec swych przeciwników nie wahał się użyć kłamstwa i oszczerstwa. Szmer niezadowolenia przeszedł po sali, a gdy prof. Tarnowski wyszedł, zawrzało wśród nas, czerwonych. Bez dyskusji i uchwały postanowiliśmy na znak protestu na następnym wykładzie, gdy zacznie mówić, wyjść gremialnie ze sali i takie było wzburzenie, że nawet jego zwolennicy, tj. wzdardliwie „paniczyki”, synowie bogatszej szlachty, przeważnie z Poznańskiego i zza kordonu, nie próbowali opozycji.

To postanowienie nie było tajemnicą, gorąco zajęli się nim wszyscy studenci i utworzyły się dwa stronnictwa. Znaczna mniejszość radziła nie rozmazywać tej sprawy i puścić te niewłaściwe słowa w niepamięć,

<sup>41</sup> „Przegląd Polski” t. 34 (1874), s. 163—179.

większość była za jaskrawą manifestacją na najbliższym wykładzie, który miał być za kilka dni. Dowiedział się o tym dziekan wydziału filozoficznego, prof. Szujski, i inni profesorowie.

Dziekan wezwał do biura kilku starszych studentów, pomiędzy nimi i mnie, bo byłem już piąty rok na uniwersytecie, wliczając prawo we Lwowie, i radził zaniechania manifestacji, bo ona jest niewłaściwą, pachnie ulicą i będzie plamą na powadze Uniwersytetu. Wyszliśmy naradzić się z kolegami i uwiadomić dziekana o rezultacie. Miejszem zbornym miała być salka w Collegium Minus, parterowa, po prawej stronie od wejścia, w której wykładał prof. Łepkowski. Może przypadkowo, a może rozmyślnie znalazł się prof. Łepkowski przed Collegium w porze naszego gromadzenia się i namawiał do spokoju, rozwagi, bo i tak prof. Tarnowski ma dosyć zmartwienia z powodu *Porcji*, więc nie przyczyniamy mu przykrości, i żartobliwie dodał, że nikt nie potrafi dopilnować swego języka, bo to domowy złodziej. Mimo tych starań uchwaliliśmy wykonanie manifestacji, a zaniechanie jej pod warunkiem odwołania słów ubliżających Słowackiemu. Dziekan po wysłuchaniu nas powiedział, że sam prof. Tarnowski załagodzi tę sprawę na najbliższym wykładzie, a tym samym manifestacja jest niepotrzebna.

Sala prof. Tarnowskiego w Collegium Fizyki była przepelniona, oczekiwaliśmy gorączkowo odwołania słów. Wszedł profesor Tarnowski, spokojny, uśmiechnięty, elegancki i rozpoczął wykład w normalny sposób. Prawdopodobnie rozmyślnie potrafił w wykładzie o zdarzających się dość często nieporozumieniach i jak gdyby przygodnie, bez żadnej intencji, powiedział bezbarwnie, że nawet pomiędzy nim i słuchaczami było jakieś nieporozumienie, bo nic łatwiejszego jak wytłomaczyć sobie fałszywie jakiś ruch lub słowo... i przedmiot wykładu wyjaśniał dalej.

„Paniczyki” tryumfowali, ale powściągliwie, my byliśmy źli i rozczarowani. Opuściła nas jednak zawziętość, zapał opozycyjny zgasł i wszystko poszło po staremu.

Profesor Józef Łepkowski, którego uczniem byłem przez trzy lata, był wzrostu trochę mniej niż średniego, blondyn mocno szpakowaty, rysy twarzy były pospolite, oczy małe, niebieskawe, wąsy niewielkie, które lubił przygryzać, gdy się namyślał lub hamował w złości, wobec słuchaczy i obcych z pogodnym uśmiechem, stapał małymi kroczkami. Pozornie dobroduszny, był bardzo ambitny, dość zarozumiały i zazdrosny o swą chwałę i tej nie ukrywał przed ludźmi. Znałem go nie tylko z wykładów i gabinetu archeologicznego, mieszczącego się w dwóch małych pokojkach, na parterze, w gmachu Biblioteki Jagiellońskiej wprost bramy wejściowej, gdzie często pracowałem nad uporządkowaniem zbiorów, ale byłem częstym gościem w jego domu, gdy spisywałem i numerowałem książki jego biblioteki i listy Libelta, jego teścia<sup>42</sup>; Kre-

<sup>42</sup> J. Łepkowski ożenił się ze Stanisławą, córką Karola Libelta.

mera; Aleksandra i Konstantego Przeździeckich<sup>43</sup>; Zawiszy<sup>44</sup> i wielu innych ludzi, mniej lub więcej głośnych i znanych. Mieszkał we własnej, ładnej, parterowej willi, w ogrodzie, za Plantami, naprzeciw Collegium Minus, a ogród jego graniczył z murem Drukarni Uniwersyteckiej.

Był jawnie pobożny, z odcieniem bigoterii i ultramontanizmu, ale nas, słuchaczy, głośno i usilnie nie nawracał do praktyk kościelnych, tylko zachwalał cuda żywej wiary.

Z usposobienia był gadatliwy, lubił opowiadać o swych znajomościach z arystokracją, o swym znaczeniu, wpływach, czynach, nawet zwierzał się ze swych różnych przeżyć, a jednak nigdy a nigdy nie wspomniał, że kształcił się na weterynarza i że napisał broszurę *O wściekłości*, którą gorączkowo wyszukiwał na Szpitalce<sup>45</sup> i płacił za każdy egzemplarz pięć złr mimo swego skąpstwa, a nawet sknerstwa.

Opowiadał mi np. szczegółowo, w jaki sposób został profesorem archeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zawdzięczał to dr. Majerowi<sup>46</sup>, prezesowi Towarzystwa Naukowego, przekształconego potem na Akademię Umiejętności. Pamiętam dr. Majera, był to niski, szczupły człowiek, z twarzą miłą, uprzejmą, wygoloną, z małymi baczkami, dobrze łyse. Chodził w cylindrze, zawsze wyprostowany, krokiem żołnierskim, służył bowiem w polskim wojsku i brał udział w wojnie z Moskalami w r. 1831.

W owym czasie Karol Rogawski i J. Łepkowski jako amatorzy wydali książeczkę opisującą kwiecistym stylem kremerowskim kilka kościołów na podgórzu krakowskim, z opisem okolicy, opatrzoną kilku rycinami<sup>47</sup>. Opisy bez wartości naukowej, ot, kilka dat erekcyjnych, kilka wspomnień historycznych, kilka bogobojnych i banalnych opisów obrazów świętych, ale książeczka była nowością, była podlana dość mdłym sosem patriotycznym i miała, jak zapewniał prof. Łepkowski, pewne powodzenie i wziętość.

Przy spotkaniu prezes dr Majer powiedział prof. Łepkowskiemu, że uniwersytety wiedeński, a nawet praski posiadają już katedry archeo-

<sup>43</sup> Aleksander Przeździecki (1814—1871) — historyk i archeolog, wydawca źródeł, autor *Jagiellonek polskich* (1868—1878). — Konstanty Przeździecki (1846—1897), syn Aleksandra, kontynuator jego prac. W roku 1871 ofiarował Uniwersytetowi Jagiellońskiemu zbiory archeologiczne swego ojca.

<sup>44</sup> Oskar Zawisza (1878—1933) — śląski historyk, folklorysta, pisarz i kompozytor.

<sup>45</sup> Przy ul. Szpitalnej w Krakowie znajdowały się antykwariaty.

<sup>46</sup> Józef Majer (1808—1899) — lekarz, fizjolog i antropolog, od r. 1835 profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Działał w Towarzystwie Naukowym Krakowskim i przyczynił się do przekształcenia go w Akademię Umiejętności (1871), której był potem wieloletnim prezesem.

<sup>47</sup> Chodzi prawdopodobnie o publikację: J. Łepkowski, *Przegląd zabytków przeszłości z okolic Krakowa*. Kraków 1863 (odb. z „Roczników Towarzystwa Naukowego Krakowskiego”). Nazwisko Rogawskiego nie jest wymienione.

logii, więc powinien ją mieć i Uniwersytet Krakowski, bo mamy bardzo bogatą przeszłość. Jako kandydata na przyszłą katedrę upatrzył dr Majer p. Łepkowskiego, bo, jak świadczy jego opis kościołów, zajmuje się on archeologią.

No i stało się zadość życzeniom dr. Majera. „Pracowałem ciężko” — są słowa prof. Łepkowskiego — „ale zdało się doktorat i habilitowałem się”. O tym zdawaniu, podobnie jak o doktoracie prof. Tarnowskiego, różni różnie opowiadali, a prof. Brandowski<sup>48</sup>, języków klasycznych, nie szczędził na wykładach bardzo dotkliwych drwin z nauki i wiedzy tych dwóch swoich kolegów.

Prof. Łepkowski łaciny i greki nie znał, mówił, ale bardzo a bardzo słabo po niemiecku, zaś francuskiego nie znał wcale. O istocie wiedzy archeologii, jej zakresie i celu nie miał żadnego pojęcia, a nawet przeczucia, jak się o tym, niestety za późno, bo po skończeniu wydziału filozoficznego, przy sposobności przygotowywania się do doktoratu, na sobie samym przekonałem.

Na razie jednak byłem jednym z jego najpilniejszych uczniów i stosownie do jego rad i wskazówek zajmowałem się: symboliką barw; symboliką chrześcijańską; o tyle o ile sztuką i estetyką, podaniami i pieśniami ludowymi w stosunku do symboliki zwierząt, drzew i roślin; słowiańską religią, historią strojów polskich, gier i zabaw, i chociaż dużo rozpraw napisałem na powyższe temata, zawsze brałem nagrody za te prace, rocznie od 300 złr do 500 złr, dużo z nich było drukowanych, ale wszystkie były powierzchowne, bez studiów poważnych, w rodzaju mniej lub więcej ciekawych felietonów<sup>49</sup>.

Najlepiej o jego wiedzy archeologicznej świadczył założony przez niego gabinet archeologiczny. W pierwszym, ciemnym pokoiku z jednym wąskim, gotyckim oknem, przesłoniętym drzewem od strony Collegium Minus, na licznych, do sufitu sięgających półkach stały stosownie do swej wielkości, takie miałem zlecenie, różne wykopaliska: urny, łzawnice, kaganki, garnuszki... niżej wyroby z epoki kamienia niegładzonego i gładzonego... z epoki brązu, żelaza. Na podłodze stały wykopane jakieś niby bożki kamienne, niewiadomego znaczenia, jakieś zagadkowe snycerskie zaczątki i kilka gipsowych kopii rzeźb z greckich i rzymskich czasów.

Porządkowałem właśnie te wykopaliska, gdy wszedł prof. Łepkowski, a ja, narzekając na brak miejsca, prosiłem, ażeby ze dwie półki umieścić w drugim pokoju.

— A niechże Bóg bronj i Matka Boska — zawołał oburzony — ścisnąć, włożyć jedno w drugie i niech sobie stoją. — Po chwili, zapaliwszy

---

<sup>48</sup> Roch Alfred Brandowski (1835—1888) — filolog klasyczny, od r. 1864 profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

<sup>49</sup> Zob. przypis 58.

cygareto, palił wstrętne, najtańsze cygara po 20 ct sztuka, rzekł do mnie tonem przyjaznego zwierzania: — Wie jegomość, gdyby to ode mnie zależało, to ja bym najchętniej wszystkie te skorupy potłukł, spakował do kosza i wrzucił do kanału, ale ludziska podnieśliby krzyk, że tyle pracy przy kopaniu i zwiezieniu niszcę, więc niech sobie stoją.

Jako wierny uczeń byłem tego samego zdania i bez żadnego szacunku ścisnąłem te popękane, nadtluczone garnki, byle zyskać trochę miejsca dla nowych przybyszów.

W drugim pokoju, jaśniejszym, stał na środku sarkofag egipski z mumią oryginalną. Wokoło były oszklone gablotki, a w nich przedmioty godne archeologa tego pokroju co prof. Łepkowski.

Było tam czako ułańskie ks. Józefa Poniatowskiego; kitka z konfederatki Kościuszki; szabla z czasów Jana III; ryngrafy; dwa hełmy; różne tabakierki; kilkanaście miniatur; wachlarze i rękawiczki historyczne; kilka talerzy z saskiej i koreckiej porcelany; kilka historycznych książeczek do nabożeństwa; kilkanaście obrazków Matki Boskiej na szkle, drzewie i blasze malowanych; mnóstwo, bo aż dwie gablotki kielichów, pucharów, roztruchanów ze szkła i kryształu; trochę starych monet itp. rzeczy. Na ścianach wisiało kilka mundurów z XVIII w., z Legionów i z r. 1831, ale ani śladu wzmianki o r. 1863; kilka rycin do ubiorów polskich i kilka wykopalisk brązowych na małych półeczkach.

Słuchaczy miał prof. Łepkowski nielicznych, o ile pamiętam, tylko raz na półroczu było 13 czy 14-tu, zresztą około 10-ciu. Byli oni wszyscy słuchaczami nadzwyczajnymi, a ja byłem jedyny zwyczajny, z maturą, i zapewne z tego powodu cieszyłem się szczególnymi względami i łaskami.

Gdy po upływie pierwszego kursu powiedziałem, że przejdę w zupełności na historię, prof. Łepkowski powiedział mi:

— Historyków jest jak psów i zostanie jegomość belfrem gimnazjalnym, a na archeologów masz jegomość za dużo palców u jednej ręki. Zostań jegomość na archeologii, zostaniesz docentem, a potem profesorem, już to się zrobi.

I zostałem na archeologii<sup>50</sup>.

<sup>50</sup> Powyższa partia tekstu zachowała się też w krótszej, pierwotnej wersji (zob. wstęp):

„11 X 1927

W r. 1875 przeniosłem się ze Lwowa, z trzeciego roku praw, na wydział filozoficzny do Krakowa i zapisałem się jako zwyczajny słuchacz na wykłady profesorów Szujskiego, Tarnowskiego, Łepkowskiego i Zakrzewskiego.

Profesor Łepkowski Józef miał największy wpływ na kierunek mego życia i studiów uniwersyteckich.

Wykładał w Collegium Minus, w małej sali na parterze, po prawej stronie od wejścia, a sam mieszkał naprzeciw za ulicą Podwale, obok Rajtszuli, słynnej później z wieców socjalistycznych, we własnym, ładnym dworku otoczonym dość wielkim ogrodem kwiatowym, jak myśmy, jego słuchacze, nazywali żartobliwie »archeologicznym«, bo z wielką starannością hodował w nim rośliny symboliczne

\* W r. 1877 Łepkowski ogłosił konkurs na rozprawę archeologiczną, imienia K. Przędzieckiego, pt. *Symbolika barw*, z nagrodą 50 złr austriackich.

Otrzymałem nagrodę, jak również drugą w roku następnym za rozprawę *Jaskinie w Polsce*, rozpisaną przez Zawiszę, znanego wówczas badacza jaskiń w Ojcowie.

Łepkowski nie tylko wypłacił nagrody, ale dzięki jego wpływom obydwie te rozprawy, zresztą dosyć marne i kompilacyjne, zostały wydrukowane<sup>51</sup>. Pierwsza w „Echu”, dzienniku warszawskim pod redakcją

---

z historii zdobnictwa kościelnego, jak również te, które były wspomniane w klechdach i pieśniach ludowych.

Niski, szpakowaty, z blond wąsem, który często przygryzał niecierpliwie, miał szaroniebieskie oczy przenikliwe, był bardzo żywy w ruchach i mowie, ambitny i zarozumiały w swej specjalności archeologii. Bolał nad tym, że miał mało słuchaczy. W czasie mego trzyletniego pobytu w Uniwersytecie Krakowskim liczba jego słuchaczy wahała się od pięciu do dziesięciu, i to przeważnie nadzwyczajnych z Poznańskiego, z Królestwa, ze Zabrzanych Prowincji.

Nie było też żadnej mojej zasługi, przynajmniej na razie, że cieszyłem się jego sympatią i że mnie wybitnie wyróżniał wśród swych słuchaczy, gdyż byłem zdaje się jedynym zwyczajnym słuchaczem i naprawdę interesowałem się jego wykładami.

Już po pierwszym półroczu, gdy zdawałem kolokwium celem zwolnienia się od zapłaty czesnego, spytał mnie tonem szczerzego zainteresowania: »A co jegomość — był to jego zwykły sposób tytułowania sympatycznych dla niego uczniów — będziesz dalej robił? co będziesz studiował?«

W owym czasie b. pilnie słuchałem Szujskiego wykładów z historii Polski, W. Zakrzewskiego z historii powszechnej, i St. Tarnowskiego z historii literatury polskiej, odpowiedziałem też bez wahania, że będę studiował historię, w szczególności Polski, byłem bowiem przejęty i niemal oczarowany wykładami Szujskiego: *Prawodawstwo Kazimierza Wielkiego*.

Śmiejąc się rzekł Łepkowski złośliwie: »Co drugi to historyk, jest ich jak psów i co z nich będzie? co ich czeka? Weź się jegomość do archeologii, to podstawa nauk... ja panu pomogę.«

Nie były to czeze słowa, chętnie udzielał mi w moich studiach rad, wskazówek, pożyczał książki ze swej zasobnej biblioteki, a dowiedziawszy się o moich ciężkich warunkach życia, zaproponował mi miejsce nauczyciela w pensjonacie swego szwagra Studzińskiego, dyrektora szkoły realnej”.

W tym miejscu w rękopisie następuje fragment, który włączyliśmy do tekstu głównego, wyodrębniając go gwiazdkami.

„Łepkowskiego interesowały dość powierzchownie style, sztuka kościelna, symbolika, a zwłaszcza historyczno-anegdotyczna strona tych objawów życia. Wszelkie przedhistoryczne wykopaliska lekceważył, z przykrością widział te »czerepy« tj. popielnice w archeologicznym uniwersyteckim gabinecie, a lubował się w kielichach, pucharach z czasów saskich; rękawiczce królowej; piórku z kity Poniatowskiego, itd., itd. Uczniami jego, którymi się chlubił, byli też K. Chłędowski i Z. Głogier i to jego zamiłowanie widoczne jest w ich pracach”.

\* Tu wprowadzamy fragment tekstu z luźnej karty rękopisu (zob. wstęp).

<sup>51</sup> A. Gruszecki: *Symbolika ptaków w podaniu i poezji ludu polskiego*. „Echo” 1878, nry 155—210 (z przerwami); *O jaskiniach na przestrzeni od Karpat po Bałtyk*. „Biblioteka Warszawska” 1878, t. 4.

J. Noskowskiego<sup>52</sup> i Z. Sarneckiego, druga zaś w „Bibliotece Warszawskiej”.

To niezwykle powodzenie i niespodziewane dochody honorarium zachęciły mnie do pisania artykułów i rozpraw, wszystkich z pokostem archeologii, jak ją wówczas prof. Łepkowski (a ja za nim) rozumiał, pojmował i wykładał.

Naprawdę archeologia ta nic nie miała wspólnego z właściwą wiedzą archeologiczną, jak się później przekonałem, po przeczytaniu Lubbocka, Taylora, Virchowa<sup>53</sup> i innych badaczy\*.

Prof. Łepkowski chwalił się często i głośno, że Zygmunt Glogier [!] i Kazimierz Chłędowski są jego uczniami i jemu zawdzięczają swe powodzenie. Czytając ich prace i artykuły nie wątpię, że tak było, bo oni jako autorzy posiadają wszystkie cechy właściwe Łepkowskiemu. Brak im poważnych studiów, mają zamiłowanie do anegdotycznej strony historii, pole widzenia zdarzeń i faktów wąskie, jak paciorki na nitkę naniżają w swych pracach różne drobnostki, śmieszności, przygodne facecje bez szerszego horyzontu na związki historii z cywilizacją i kulturą. Są to często nawet przyjemne rozprawki, ale felietonowe.

Słuchałem też wykładów literatury niemieckiej prof. ks. Bratranka, augustianina. Twarz jego, jak to się zdarza u ludzi podeszłego wieku, zdawała się być wyrzeźbioną z kości słoniowej, oczy miał żywe, łagodne, a z całej jego postaci promieniowała dobroć i wyrozumiałość. Głos, chociaż cichy, był dźwięczny i miły. Wykład swój przeplatał szczegółami rodzinnymi poetów i autorów, często ciekawymi, ale był tak pobłażliwym krytykiem, że w Niemczech w żadnej epoce nie było złych poetów, nudnych autorów i każdy nosił wieniec zasłużonej chwały.

Na razie, z powodu jego miłego głosu i współczucia dla omawianych autorów, słuchało się z przyjemnością jego wykładów, ale po kilku wykładach czy kilkunastu ta słodycz nudziła i przychodziło się na jego wykłady nie tyle ażeby wysłuchać, jak raczej wypocząć.

Z obowiązku chodziliśmy na wykłady filozofii prof. M. Straszewskiego<sup>54</sup>. Kto miał dosyć cierpliwości i ochoty, ten mógł dużo skorzystać, bo profesor znał swój przedmiot, ale wykładał chłodno i szablonowo. Nazywaliśmy go urzędnikiem od filozofii, miał jednak wielką zaletę, że

<sup>52</sup> Jan Noskowski (ok. 1831—1881) — redaktor, drukarz i nakładca. „Echo” założył w r. 1876 wspólnie z Zygmuntem Sarneckim i Piotrem Noskowskim.

<sup>53</sup> John Lubbock (1834—1913) — angielski etnolog, biolog i ekonomista; zwolennik ewolucjonizmu w historii rozwoju społecznego. — Edward Burnett Tylor (1832—1917) — angielski etnolog i antropolog społeczny; przedstawiciel ewolucjonizmu w etnografii i religioznawstwie. — Rudolf Virchow (1821—1902) — niemiecki anatom, patolog i antropolog; profesor uniwersytetów w Würzburgu i Berlinie, przeciwnik teorii ewolucji.

\* Tu kończy się tekst wzięty z luźnej karty rękopisu.

<sup>54</sup> Maurycy Straszewski (1848—1921) — profesor filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim od 1878 roku.

był uprzejmy, dzielił się chętnie ze [!] swoją wiedzą i na najłżejsze żądanie pożyczał dzieła ze swej prywatnej biblioteki.

Z wykładami filozofii nie byliśmy w wielkiej zgodzie, a w Czytelni Akademickiej sypały się odczyty o Büchnerze, Renanie, D. Strausie<sup>55</sup>, Darwinie, filozofii Comte'a i innych pozytywistach. Naturalnie głównym przedmiotem dyskusji i sporów była religia. Właśnie w tym czasie nowy docent, dr Dajzenberg<sup>56</sup>, ogłosił wykłady na Uniwersytecie o *Historii filozofii Wschodu*.

Na pierwszy wykład przyszło nas przeszło dwudziestu. Dr Dajzenberg, szczupły, pochylony, w okularach, z brodą jasną pomierzwioną, z włosami opadającymi na czoło, zrobił wrażenie jakiegoś archiwisty, szperacza.

Rozłożywszy skrypta przed sobą, zaczął wykład głosem słabym i niepewnym, spoglądając często na zapisane kartki.

Na pierwsze miejsce swej historii filozofii Wschodu wysunął Żydów, sławiąc ich jako naród wybrany, który dla całej ziemi przechował wiarę w jednobóstwo, i banalnymi, księżowskimi frazesami prawił o nadzwyczajnym posłannictwie tego narodu w dziejach rozwoju jedynej prawdziwej wiary w jedynego Boga. Następnie wymienił szczegółowo działy, z których się składa *Biblia*. Książka ta, słusznie *Pismem świętym* nazwana, była napisana z natchnienia Bożego, nie może więc podlegać żadnej krytyce ludzkiej.

Po tych słowach, jak na komendę zaczęliśmy głośno i ostentacyjnie składać zeszyty, notatki, chować ołówki i spoglądać na zegarki.

Zmieszał się pan docent i gorączkowo, połykając słowa, zaczął mówić o Egipcie.

Na drugi wykład przyszło dwóch czy trzech słuchaczy, a na następne ani jeden.

Stosunki koleżeńskie, z którymi przez trzy lata zżyłem się we Lwowie, różniły się znacznie od krakowskich i te na razie wydały mi się dziwnie chłodne, wstrzemięźliwe, konwencjonalne, bez ognia, zapału i serdeczności.

We Lwowie kolega niemal zaraz po zaznajomieniu interesował się gorąco nowo poznanym, sypały się pytania nie tylko co do zamiarów

---

<sup>55</sup> Ludwig Büchner (1824—1899) — filozof niemiecki, zwolennik materializmu mechanistycznego. — Ernest Renan (1823—1892) — francuski historyk, filozof i filolog, autor głośnego *Żywota Jezusa* (1863). — David Friedrich Strauss (1808—1874) — niemiecki filozof i teolog. Rozgłos zdobyła mu książka *Das Leben Jesu* (1835—1836), w której *Ewangelię* przedstawił jako zbiór mitów, a samego Chrystusa jako personifikację idei ludzkości.

<sup>56</sup> Władysław Dajzenberg (1844—1887) — filozof. Uzyskał doktorat na podstawie rozprawy *O filozofii Leibniza* (1875), habilitował się na podstawie książki *Dzieje filozofii nowożytnej. (Od renesansu do Hume'a)* (1875). W 1877 r. bezskutecznie starał się o katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1883 został sędzią w Skawinie.



nauki, ale i co do stosunków pobytu w mieście, przekonań społecznych, politycznych, z kim warto żyć, kogo należy unikać. Były to informacje wprawdzie stronne, zależne od sympatii lub antypatii opowiadającego, ale bądź co bądź dawały pewną wskazówkę o kolegach, ich życiu, ich wartości moralnej. Naturalnie nie szczędzono rad i wskazówek co do wykładów, profesorów, życia uniwersyteckiego, związków koleżeńskich, jak również wyjaśnień praktycznych, gdzie się stołować, ubierać, jak sobie radzić w potrzebie.

Poznajomienie się nabierało cech przyjaźni i wzajemnego zaufania, była w tym pewna bezpośredniość uczucia i prostolinijność. Co prawda, te szybko i na gorąco zawiązane stosunki przyjazne nie trwały długo, były one gatunkiem (...) <sup>57</sup>

Życie akademickie w Krakowie, podobnie jak we Lwowie, koncentrowało się w Czytelni Akademickiej. Młodzież, jak prawdopodobnie wszędzie, dzieliła się na dwa zwalczające siebie stronnictwa: zachowawcze i postępowe. We Lwowie my, postępowcy, tzn. „czerwoni”, byliśmy w Czytelni większością, a dyskusje i krytyki po odczytach kolegów były ostre i namiętne, co jest i było właściwością młodzieży. We Lwowie owe spory teoretyczne przechodziły dość często na pole osobistych uraz i niechęci, czego nie zauważyłem w Krakowie, bo nawet po namiętnej dyskusji szliśmy w zgodzie na dalsze spacerunki, a w chłodny czas na komers, czyli na szklanekę piwa lub herbaty.

Postępowe stronnictwo w Krakowie nazywało siebie, wzorem Warszawy: pozytywistami, zaś zachowawcy wymyślali nam od „darwinistów” i „małpoludów”, a my nawzajem nazywaliśmy ich dwuznacznie: „barankami bożymi” lub ostrzej „perełkami ubogich duchem”.

Pamiętam odczyt medyka Edwarda Zosła o różnicy i wyższości człowieka nad zwierzętami. Wśród przytoczonych argumentów za wyższością i boskim pochodzeniem człowieka podkreślił dosadnie, że tylko człowiek śmieje się i wie, co to oznacza. Wyznaczony oponent odczytu po dłuższej krytyce argumentów, gdy przyszedł do kwestii śmiechu, powiedział, że samo życie przeczy prelegentowi, gdyż, jak mówi lud: koń by się uśmieł z takiego rozumowania, a cóż dopiero osioł, który nosił wazszego Boga, „baranki boże”!

I prelegent, i obecni słuchacze zaśmieli się i w zupełnej zgodzie poszliśmy na komers.

Skończyłem wymagane na wydziale filozoficznym trzechlecie, miałem zamiar doktoryzować się, brakło mi jednak pieniędzy na takse, a uganiecie się za lekcjami obrzydło mi. Łepkowski, mój życzliwy protektor, doradzał mi wzięcie guwernerki w Królestwie, gdzie krakowscy studenci byli poszukiwani, ale ów pobyt na wsi wydawał mi się wygnaniem i zmarnowaniem dotychczasowej pracy i nauki.

---

<sup>57</sup> Tutaj zdanie urwane w rękopisie — wyraźna luka.

Trzeba było jednak zapracować na życie i utrzymanie, co wydało mi się rzeczą dość łatwą.

Napisałem przecież około dziesięciu rozprawek i artykułów tzn. archeologicznych i były drukowane i zapłacone przez dzienniki warszawskie „Echo”, „Wiek”, „Kurier Warszawski”, prócz tego wydrukowała mą rozprawę „Biblioteka Warszawska” i krótki artykuł „Kronika Rodzinna”<sup>58</sup>.

W owym czasie mój kolega uniwersytecki Zygmunt Przybylski<sup>59</sup> zaczął wydawać tygodnik pt. „Echo Teatralne i Artystyczne” i zwierzał mi się, że pismo przynosi znaczne dochody, co, jak mi później sam mówił w Warszawie, było nieprawdą, a do wydawnictwa dopłacał Koźmian, dyrektor teatru, ale wówczas wierzyłem w znaczne dochody z „Echa”.

Po doznanych rozczarowaniach i po utracie nadziei utrzymania się w Krakowie opanowała mnie niezmierzona chęć wyjazdu do Warszawy, którą poznałem przy sposobności rewizyty krakowskich akademików po odwiedzinach studentów Uniwersytetu Warszawskiego w r. 1878. Ten trzydniowy pobyt w Warszawie, gdzieśmy byli ugaszczani przez kolegów warszawskich, pozostawił mi b. miłe i przyjemne wspomnienia.

Do wyjazdu do Warszawy skłaniały mnie w dużej mierze sprawy uczuciowe. Zakochałem się z wzajemnością od roku, może i więcej, w pannie Helenie Ciawłowskiej, córce nieżyjącego wówczas generała rosyjskiego, która z matką i siostrą mieszkała w Krakowie po skończeniu edukacji w Dreźnie. Panna z obawy prześladowań i utraty pensji po ojcu była formalnie zapisana jako prawosławna, ale wszystkie te trzy panie były b. gorliwymi i praktykującymi katoliczkami, jak zwykle neofitki z przekonania. Panna była ładna, inteligentna, lepiej znała francuską literaturę aniżeli polską, ładnie śpiewała i miała śliczne, ciemnoniebieskie oczy, z oprawy i sposobu ich podnoszenia podobne do oczu Modrzejewskiej. Otóż panie Ciawłowskie z powodów finansowych, miały bowiem jakąś donację w Smoleńszczyźnie, wyjechały z Krakowa i osiadły w Warszawie, więc tym bardziej upragnionym stało się dla mnie to miasto.

Jechałem z niewielką, gorliwie oszczędzoną kwotą 40 guldenów austr., ale byłem przepojony różowymi i złotymi nadziejami powodzenia i miałem w kufunku, wśród wielu rozpoczętych prac, jak: historia kart do gry; Cyganer w Polsce; historia wróżenia na Andrzeja i Boże Narodzenie;

<sup>58</sup> Z najważniejszych artykułów A. Gruszeckiego wymienić można: *Znaczenie świata roślinnego w podaniu i poezji ludu polskiego*. „Biblioteka Warszawska” 1877, t. 3—4; *W sprawie narodowości Wita Stwosza*. „Wiek” 1878, nr 74; *Jeszcze w sprawie narodowości Wita Stwosza*. Jw., nr 99; *Sprowadzenie zwłok Krasickiego i grobowa ich tablica*. „Kronika Rodzinna” 1878, nry 691—692; *Jan III w poezji polskiej swego wieku*. „Tygodnik Powszechny Warszawski” 1878, nry 22—25.

<sup>59</sup> Zygmunt Przybylski (1856—1909) — literat, komediopisarz i publicysta. Studiował filologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. „Echo Teatralne i Artystyczne” wydawał od roku 1878. W 1879 przeniósł się do Warszawy, gdzie był współpracownikiem „Wiek” i „Słowa”. Od 1874 r. ogłaszał swe utwory komediowe.

ukończoną rozprawę doktoryzacyjną: *Popielnica polska jako wyraz cywilizacji*, drukowaną później w wyjątkach w „Przeglądzie Tygodniowym”<sup>60</sup>.

Czułem się tedy bogatym i pewny byłem powodzenia literackiego. Stosownie do mego nastroju i pewności siebie zajechałem do Hotelu Francuskiego przy placu Zielonym i zająłem pokój frontowy za 2 rbl 50 dziennie.

Na drugi dzień poszedłem do redakcji „Echa” przy ulicy Mazowieckiej 11, w podwórzu. Zastałem tam p. Jana Noskowskiego, właściciela i wydawcę tego pisma. Wysoki, tęgi, z ładnym siwym wąsem, z dobrym i szczerym wyrazem na pełnej twarzy, interesował mnie też jako wierny towiańczyk, czego nie ukrywał. Poznałem go był w Krakowie, przy zawarciu umowy tyczącej mej pracy do felietonu „Echa”. Z dawniejszych rachunków należała mi się reszta 10 rbli, które mi natychmiast wypłacił. Na moją propozycję drukowania innych prac odpowiedział, że w sprawach literackich decyduje tylko redaktor Sarnecki i polecił chłopcu poprosić go do siebie. Redaktora nie było. Po wyjściu z „Echa” czułem się trochę onieśmielony i przygnębiony, powoływanie się na powagę redaktora wydało mi się udawaniem, bo przecież w Krakowie sam decydował o przyjęciu mej pracy i warunkach honorarium.

Ale trwało to krótko, do chwili spotkania się z akademikiem warszawskim, Królem, który odwiedził był Kraków i nas tu przyjmował.

Następnych dni poszedłem do „Wieku”, dziennika pod redakcją Kazimierza Zalewskiego<sup>61</sup>, „ojca” komedii polskiej. Brunet, ładnie ubrany, może nadto pewny siebie, z uśmiechem szablonowym na dość miłej, wesołej twarzy, z rysami zatracającymi semityzmem, przyjął mnie uprzejmie, nie szczędził pochlebnych frazesów co do Krakowa, ale przyjęcia mych prac z powodu nawału materiału na razie odmówił i dodał niemiłym, protekcyjnym tonem, że jeśli w swej tece znajdę krótką nowelę, „Wiek” zapewne umieści.

Byłem i w „Kronice Rodzinnej”. Redaktorką była pani Borkowska<sup>62</sup>, zawsze w czarnej sukni, z czarną koronką na siwiejących włosach, dość wysoka, lekko pochylona, niemłoda, miała wyraz twarzy surowy, energiczny, oczy zimne, dumne, głos bezdźwięczny, chropawy i stanowczym tonem wygłaszała swe sądy i zdania.

Przyjęła mnie z chłodną ceremonialnością w swym prywatnym mieszkaniu i ledwie raczyła się uśmiechnąć na przesłane przeze mnie pozdrowienia prof. Łepkowskiego.

<sup>60</sup> A. Gruszecki, *Popielnica polska jako wyraz cywilizacji pierwotnej*. Dod. miesięczny do „Przeglądu Tygodniowego” 1880, t. 1, s. 1—22, 194—221, 394—420.

<sup>61</sup> Kazimierz Zalewski (1849—1919) — dramatopisarz i krytyk teatralny. Redaktorem „Wieku” był w latach 1876—1905.

<sup>62</sup> Aleksandra Borkowska (1828—1898) w latach 1861—1868 wespół z J. Śmigielką wydawała „Kółko Domowe”, a od 1864 „Kronikę Rodzinną”, gdzie ukazały się m. in. pierwodruki kilku utworów i listów Krasińskiego oraz *Listy z podróży Odyńca*.

Spytała łaskawie o moje studia uniwersyteckie, a gdy z wielkim uznaniem wspomniałem prof. Szujskiego, powiedziała szorstko: „Poglądy pana Szujskiego różnią się od naszych i my ich nie podziwiamy”, i zmieniając temat rozmowy spytała: „czy był pan u naszego wieszczka Odyńca”<sup>63</sup> — a na mój przeczący znak dodała surowo: „to obowiązek każdego złożyć mu hołd”.

Istotnie poczułem się winnym, bo miałem szczególny kult dla Mickiewicza, który obejmował wszystkie osoby i rzeczy z nim związane, i przyrzekłem, że pójdę. Dała mi adres jego i godzinę przyjęcia, o 11-tej przed południem.

Co do moich artykułów oświadczyła, że „Kronika” rozporządza b. szczupłą ilością miejsca, że dłuższych artykułów z zasady prawie nie przyjmuje, ale umieści drobne notatki z ruchu naukowego i literackiego.

Mijał już szósty dzień pobytu mego w hotelu, fundusze moje topniały, z obawą patrzałem w przyszłość, może się sam zdradziłem, może numerowy się domyślił, dość że zaproponował mi pokój na III piętrze za 1 rbl 20, ale i ten wydał mi się za drogi i spytałem o tańszy numer. Wówczas poradził mi on opuszczenie hotelu i zamieszkanie w pokoju umeblowanym przy rodzinie i właśnie wie o takim pokoju u swego znajomego, maszynisty kolejowego. Pokój jasny, umeblowany za 10 rbl na miesiąc, przy ulicy Wilczej. Zgodziłem się bez wahania i na drugi dzień wprowadziłem się do nowego mieszkania. Był to mały pokój z jednym oknem w poprzecznej oficynie. Wchodziło się do niego przez kuchnię i pokój odnajmujących gospodarzy, jak się przekonałem po pewnym czasie, Żydów, ale na razie wierzyłem opowiadaniu żony, bez żadnej wątpliwości Żydówce, że mąż jej jest Anglikiem. Mieli dwoje dość krzykliwych dzieci, chłopiec trzyletni i jednoroczna dziewczynka. Umeblowanie mego pokoiku było b. skromne. Łóżko żelazne z twardym siennikiem, stół, lampa, dwa krzesła i pierwotna umywalka, miska na zdydlu. Gospodyni była dość młoda Żydówka, niska, tłuścawa, troszkę krzykliwa, ale uprzejma, i po kilku dniach wstawiła do pokoiku szafę i karafkę na wodę ze szklanką.

Niemile dotknęły mnie te odpowiedzi redakcyjne, ale nie zraziły mnie do tego stopnia, ażebym nie miał spróbować szczęścia w redakcji „Kuriera Warszawskiego”. Przyjął mnie sekretarz redakcji Tadeusz Czapełski<sup>64</sup>, młody człowiek, wesoło uśmiechnięty, siedzący przy wielkim biurku zarzuconym papierami. Wysłuchał mnie uśmiechnięty, bawiąc się wielkim kolorowym ołówkiem i radził, ażebym porzucił pisanie nudnych naukowych artykułów, a wziął się do opisów życia bieżącego.

---

<sup>63</sup> Antoni Edward Odyńiec w Warszawie przebywał od r. 1866 i przez rok redagował „Kurier Warszawski”, a do końca życia był głównym współpracownikiem „Kroniki Rodzinnej”.

<sup>64</sup> Tadeusz Czapełski (1853—1930) — dziennikarz. Od r. 1874 sekretarz „Kuriera Warszawskiego”, a potem kolejno „Kuriera Codziennego” i „Tygodnika Ilustrowanego”.

— Chodź pan po mieście, po ulicach, po cukierniach, a co pan nowego zobaczy, nie znanego w Krakowie, napisz pan krótką notatkę, a będzie dobra, to umieszczę.

W tej chwili wszedł do pokoju znany mi z Krakowa Marian Gawalewicz<sup>65</sup> i z uśmiechem przyjaznym na krągłej, różowawej twarzy przywitał się ze mną serdecznie, a dowiedziawszy się, z czym przyszedłem, powiedział, że cieszy się z mego spotkania, bo przed kilku dniami rozmawiał o mnie z bankierem Matiasem Bersonem<sup>66</sup>, który dopytywał się o mnie, bo on ma zamiar wydać dzieło ilustrowane o Wicie Stwoszu, czytał mój felieton o Stwoszu we „Wiek” i rad będzie zaznajomieniu się. Umówiliśmy się, że razem z Gawalewiczem pójdziemy do Bersona. Wyszliśmy z redakcji, a przy rozstaniu radził mi, ażeby odwiedzić naszego wspólnego znajomego z Krakowa, Stanisława Grudzińskiego<sup>67</sup>, redaktora „Tygodnika Powszechnego”.

W umówiony dzień wieczorem poszliśmy z Gawalewiczem do mieszkania bankiera Bersona przy ulicy Elektoralfnej. Przyjął nas w swym ładnym gabinecie Berson, człowiek lat przeszło czterdziestu, może zbyt elegancko jak na gospodarza ubrany. Rysy twarzy były miłe, chociaż wyraźnie semickie, a wyraz twarzy przyjacielski, z uprzejmym uśmiechem. Po krótkiej ogólnikowej rozmowie zaczęliśmy mówić o Wicie Stwoszu. Gawalewicz wyszedł, a my z wielkim przejęciem rozprawialiśmy o Stwoszu i jego dziełach. Świeżo, bo może przed rokiem, badałem źródła i opracowania odnoszące się do życia i dzieł tego rzeźbiarza i byłem lepiej o tym poinformowany od mego gospodarza. W czasie tej rozmowy przyszedł S. Lewental<sup>68</sup>, typowy Semita, średniego wzrostu, z pełnym zarostem, z grubymi, zmysłowymi wargami, właściciel i wydawca tygodnika „Kłosa”, zięć bankiera, i rozmowa stała się jeszcze bardziej interesująca, gdyż, jak mi oznajmił gospodarz, Lewental miał być wydawcą dzieła o Wicie Stwoszu, i obaj zaprosili mnie do współpracownictwa, a nadto Lewental zaproponował, ażebym chodził na posiedzenia redakcyjne „Kłosów”, odbywające się raz na tydzień. Książka o Wicie Stwoszu zresztą nie wyszła z nieznanymi mi powodów. Na usilne nalegania gospodarza zostałem na kolacji, którą zjedliśmy we trzech, bo żona bankiera z córkami była w teatrze.

<sup>65</sup> Marian Gawalewicz w redakcji „Kuriera Warszawskiego” pracował od 1876 roku. Drukował w „Kłosach” i „Tygodniku Ilustrowanym”.

<sup>66</sup> Mathias Berson (1823—1908) — kupiec, historyk sztuki, opiekun inicjatyw wydawniczych, członek zarządu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych oraz Komisji Historii Sztuki AU.

<sup>67</sup> Stanisław Grudziński (1852—1884) — poeta, publicysta, powieściopisarz. Od r. 1878 redaktor działu literackiego „Tygodnika Powszechnego”, w którym pod pseudonimem „Grzymała” prowadził kronikę współczesną pt. *Pogadanki*.

<sup>68</sup> Salomon Lewental (1839—1902) — księgarz i wydawca, założył „Kłosa” w 1865 r. i prowadził je do 1890.

Już lepszej myśli wracałem do domu, upoiły mnie trochę pochlebne frazesy Bersona i niejasne obietnice Lewentala. Było to pierwsze powożenie, które mnie spotkało po miesięcznym pobycie w Warszawie, i pragnąłem podzielić się tą dobrą nowiną z Heleną Ciawłowską.

Od czasu przyjazdu byłem u nich w domu trzy razy, gdyż ona żądała, ażebym oficjalnie bywał raz na tydzień, natomiast spotykaliśmy się dość często w Alejach Ujazdowskich, w Łazienkach, w Ogrodzie Saskim itd. Ona była zawsze równie dobra i czuła, tylko znacznie wstrzeźwliwsza w okazywaniu swych uczuć, co stało się powodem częstych sporów i gniewów, ale ostatecznie zawsze pogodziliśmy się i nie umniejszało to naszej wzajemnej miłości.

Nazajutrz był u nich dzień przyjęcia, ja zaś miałem przywilej wcześniejszego zjawiania się u nich. Helena przyjęła mnie mile, jak zazwyczaj, a dowiedziawszy się o mej wczorajszej wizycie u Bersona, zaraz uwiadomiła matkę. Pani generałowa spiesząc się weszła do saloniku i potrząsając moją ręką obsypała mnie banalnymi, przesadnymi pochwałami i komplementami.

Była to kobieta około 40 lat, z wyraźnymi śladami piękności, o której nie zapominała, i chciała się podobać. I byłaby nawet przyjemną, gdyby nie była tak chorobliwie sentymentalną i przesadną, aż do nieszczerości, w okazywaniu swych uczuć. W dodatku lubiła się stroić w poezję i sztukę, zresztą najpospolitszego gatunku, a ja jako literat byłem najulubieńszą i najczęstszą ofiarą jej zdolności wierszowania, miała wprost zdumiewające zaufanie do mnie jako swego kolegi po piórze. Wśród zalewu pochwał i prorocत्व świetnej przyszłości już była gotowa do odczytania mi swej najnowszej elegii, bo specjalizowała się w odach i elegiach, wyraziła przy tym błogą pewność, że teraz będzie drukowaną przy moich wpływach, gdy obydwie córki uczyniły stanowczą uwagę, iż bliskie nadejście spodziewanych gości zepsuje efekt przesłicznej poezji, a Helena dodała, że mogę przecież przyjść jutro lub pojutrze dla wysłuchania elegii. Ta miła nadzieja zobaczenia Heleny pogodziła mnie z wysłuchaniem tych rymów częstochowskich i powiedziałem, że bardzo gorąco pragnę poznać ten nowy, znakomity utwór. I poznałem go. Była to *Elegia na śmierć kaczuśki*, która biała, niewinna pływała po wodzie czystej, a oto leży na półmisku upieczona, czy była jabłkami nadziewana, już nie pamiętam. Wieczór ten byłby był nawet b. przyjemny, bo przyszły dwie panny Karpińskie, Krzysia i Jadwiga, pierwsza ładna, ale to b. ładna, którą trochę później sportretował jako Marię Malczewskiego Andriolli w zbytkownym wydaniu poematu nakładem Gebethnera<sup>69</sup>. Byli jednak i inni goście, znacznie mniej przyjemni. Były panny Skrochowskie, krewne generała, których ojciec Polak ożenił się gdzieś w Tule z Rosjanką i one bardzo przesiąkły rosyjską kulturą i językiem,

<sup>69</sup> *Maria A. Malczewskiego* z 8 fotodrukami podług rysunków M. E. Andriollego ukazała się w Warszawie w r. 1876 (wyd. 2: 1878).

wreszcie dwóch Litwinów, urzędników skarbowych, i jakiś młody przemysłowiec z Łodzi. Towarzystwo było nudne i skrępowane, bo zwykle rozmawiano swobodnie o prześladowaniu Polaków i unitów przez Moskali, o wybrykach Hurki i Apuchtina, ale mówić szczerze w tym towarzystwie nie było bezpiecznie.

Stosownie do rady Gawalewicza poszedłem do redakcji „Tygodnika Powszechnego” w księgarni M. Orgelbranda, na Krakowskim Przedmieściu naprzeciw Kopernika.

Zaprowadzono mnie do ciemnego, wąskiego pokoiku, w którym siedział za stołem redaktor Stanisław Grudziński.

Młody, wysoki, szczupły, b. przystojny mężczyzna, z dość długimi ciemnoblonde włosami, zaczesanymi w górę modą poetów. Istotnie pisywał ładne wiersze, dosyć czule i nastrojowe, my w Krakowie uważaliśmy go za zdolnego poetę i byliśmy przekonani, że zostanie sławnym.

Spojrzał na mnie serdecznie i ze szczerym współczuciem pytał się o moje przeżycia w Warszawie.

Opowiadając o moich wizytach redakcyjnych wyraziłem zdziwienie, że te same redakcje poprzednio przyjmowały chętnie moje artykuły. Grudziński wyjaśnił mi, że na drukowanie tych prac wpływała protekcja Łepkowskiego i do pewnego stopnia nowalia, iż z Krakowa zgłasza się nowy autor. Na posiedzenie redakcyjne „Kłosów” radził mi pójść, wątpił jednak w doraźną pomoc, może kiedyś, później przyniesie to korzyść, bo, mówił szczerze dalej, w naszym świecie literackim jak w kościele, staniecie w kruchcie i nie spostrzeżecie, kiedy znajdziecie się w nawie głównej, a potem przed wielkim ołtarzem. Jest tu jeszcze mała kapliczka bezwyznaniowców, przeciwników Polski, tradycji, katolicyzmu. My i oni to dwa krańcowe przeciwieństwa. I gorąco, z wielkim przejęciem odradzał mi wchodzić z nimi w stosunki, bo będę zgubiony w oczach Warszawy.

Na moje pytanie, czy nie mógłbym coś wydrukować w „Tygodniku Powszechnym”, odpowiedział, że wydawca jest skąpy i pilnuje z zawziętością semicką ilości i jakości katolicyzmu autora i jego pracy. W interesie wydawniczym z powodu swego żydostwa jest on nieubłagany katolikiem, no a wasza marka z Krakowa nasuwa wątpliwości. Wyszędłem przygnębiony, bo trochę liczyłem na „Tygodnik Powszechny”, nadzieja się rozwiała, a gwałtownie potrzebowałem zarobku. Poszedłem jeszcze raz do „Echa”. Zastałem redaktora, Zygmunta Sarneckiego. Dosyć wysoki, zgrabny, wytwornie ubrany, bardzo przystojny, był grzeczny, uprzejmy, ale w obejściu chłodny. Interesował się specjalnie teatrem, a jeszcze bardziej aktorkami i na ten temat krążyły o nim różne anegdoty. Moją propozycję wzięcia jednej z mych prac zbył grzeczną obietnicą, że może później, bo na razie ma nawał rękopisów.

Wracając do domu, nie wiem, po raz który, robiłem bilans mojej kasy. W kieszeni miałem kilkanaście kopiejek i w kuferku niewielką ilość prac

nie nadających się redakcjom, to były plusy, a minusy: nie zapłacone od pięciu tygodni mieszkanie, dług w sklepiku spożywczym, którego kredytem żyłem, prócz tego praczka i usługa. W mieszkaniu zastałem nową przykrość. W mojej nieobecności przyszedł rewirowy z rozkazem, ażeby natychmiast stawił się w cyrkule, gdyż paszport mój krakowski nie jest formalny, a więc nieważny, i jeśli sprawy nie wyjaśnię w ciągu 24 godzin, muszę opuścić Warszawę, tak powiedział gospodyni rewirowy. Policja w owym czasie była wszechwładną i wszechpotężną, nic dziwnego, że gospodyni moja, Żydówka w dodatku, przeraziła się i oznajmiła, że wyjaśni się sprawa lub nie, ale muszę się zaraz wyprowadzić, bo ona z policją nie chce mieć nic do czynienia. Poszedłem do cyrkułu, nie zastałem komisarza, a przesłuchał mnie w obecności rewirowego jakiś urzędnik w mundurze, Moskał brutalny i zaraz z miejsca zwymyślał mnie za chęć oszukania rządu i policji, za podejście i za bezprawny pobyt w Warszawie, gdyż sześciomiesięczny termin, na który paszport był wystawiony, już od dwóch dni minął i nie mam prawa przebywać w Cesarstwie rosyjskim. Na moją skromną uwagę, że wyszlę paszport i otrzymam przedłużenie, odpowiedział, że pozwolenie na wysłanie zależy od komisarza, a o terminie stawienia się powie mi rewirowy.

Było to moje pierwsze zetknięcie się z policją rosyjską, a nie znając metody i procedury rządów policyjnych w Królestwie, byłem przerażony, że nazajutrz wyszlą mnie pod eskortą do Galicji, ale nadrabiając miną powiedziałem w przedpokoju rewirowemu, którego dawniej poznałem, że jutro nie mogę wyjechać, bo mam ważne interesa. Rewirowy w odpowiedzi rzekł przyciszonym głosem: jutro będę i pomówimy ze sobą. Pozornie nabrałem otuchy, ale niepokój tkwił we mnie jak cierni, bo uregulowanie sprawy paszportowej pociągało koszta za sobą, a skąd pieniądze?

Szedłem bezcelowo Nowym Światem, gdy ktoś zawołał na mnie po imieniu. Szybko zbliżył się do mnie dr Gwiazdomorski, kolega z Uniwersytetu<sup>70</sup>, z którym żyłem w przyjaźni, bawił on w Warszawie chwilowo i ażeby mnie odszukać, szedł właśnie do biura adresowego. Zaszliśmy do cukierni, a zbyt świeżo przyjechałem do Warszawy i zbyt długo tkwiłem w Krakowie, ażeby mnie nie interesowały wszystkie przeżycia i drobnostki kolegów i wspólnych znajomych. Dowiedziawszy się o moich niepowodzeniach, prawie zmusił mnie do przyjęcia pożyczki, niewielkiej sumy, która pozwoliła mi jednak spłacić długi i przeżyć w Warszawie jakiś czas, to znaczy jakiś miesiąc, może półtora, przy wielkiej oszczędności.

Nie mieliśmy tajemnic, więc spytał, czy widziałem panie Ciawłow-

---

<sup>70</sup> Jan Kazimierz Władysław G w i a z d m o r s k i (1854—1905) — lekarz. Studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego od r. 1872, promovany na doktora w roku 1879. Założyciel pierwszej w Galicji Lecznicy Prywatnej (1883).



skie i czy bywam u nich, a dowiedziawszy się ostrzegł po przyjacielsku: „Ożenić się z nią jako prawosławną nie ożenisz, więc po co bałamucisz ją i siebie?” Odpowiedziałem wymijająco, uznając zresztą słuszność uwagi, ale zbyt byłem nią zajęty, ażeby się jej wyrzec z lekkim sercem.

Wróciwszy wieczorem do domu zapłaciłem zaległy czynsz, mimo to gospodyni oświadczyła, że jeśli nie będę na czysto z policją, muszę się zaraz wyprowadzić. Rano przyszedł rewirowy i po krótkiej konferencji w moim pokoju zawyrokował, że mogę spokojnie w jego rewirze mieszkać do czasu uregulowania paszportu, jeśli będę co tydzień płacić mu po jednym rublu. Zgodziłem się i wręczając mu pierwszego rubla prosiłem, ażeby uspokoił moją gospodynię. Istotnie mieszkałem jeszcze przez trzy miesiące nie nagabywany przez policję, dopiero gdy przeniosłem się do innego rewiru, miałem trochę kłopotu przy wydobyciu dawnego paszportu.

I Gawalewicz, i Grudziński zalecali mi usilnie nie zaniedbywać stosunków i znajomości, więc chociaż miałem dość silne opory przeciw pani Borkowskiej z „Kroniki Rodzinnej” za jej oziębłość i wyłączność wyznaniową, postanowiłem usłuchać jej rady i pójść do Odyńca. Mieszkał na drugim piętrze od frontu przy placu Zielonym. Przyjął mnie uprzejmie, prawie serdecznie, słyszał bowiem o mnie od pani Borkowskiej. Gabinet może zbyt kokieteryjnie, po kobiecemu umeblowany, pełen był drobnostek i pamiątek, z ładnym portretem ołówkowym Mickiewicza i olejnym A. E. Odyńca. Był to prawie staruszek z wygoloną twarzą, ale b. żwawy i rozmowny. Średniego wzrostu, włosy gęste, silnie przyprószone siwizną, zaczesany i ubrany trochę niemodnie, miał jednak dużo wdzięku w obejściu i umiał prowadzić interesującą rozmowę, ośmielając gościa swym przyjaznym wyrazem twarzy i uśmiechem. Byłem u niego może pół godziny, zaprosił mnie na tygodniową herbatę, będącą zarazem posiedzeniem komitetu redakcyjnego „Kroniki Rodzinnej”, i na moją prośbę obdarzył mnie swoją fotografią na pamiątkę, z autografem i kilkoma uprzejmymi słowami.

Byłem b. zadowolony z tej wizyty i dumny z poznania przyjaciela Mickiewicza.

W oznaczonym dniu poszedłem na posiedzenie redakcyjne „Kłosów”. Redakcja i administracja pisma mieściły się na parterze w lewej oficynie, zaś posiedzenia redakcyjne odbywały się w prywatnym mieszkaniu właściciela pisma, Lewentala. W gabinecie, poważnie umeblowanym, siedział przy dość obszernym stole na fotelu i na pierwszym miejscu właściciel pisma, mając po prawej stronie redaktora „Kłosów”, Adama Pługa, znanego literata i poety, z którego licznych dzieł znałem powieść dosyć nudnie napisaną, kapiącą od cnót, pt. *Oficjalista*, i poemat *Srocзка*, nie tyle czuły, ile ckliwy<sup>71</sup>. Więcej niż średniego wzrostu, lekko pochy-

<sup>71</sup> Adam Pług (właśc.: Antoni Pietkiewicz) *Oficjalistę* opublikował w r. 1873. *Sroczkę* — w 1876.

lony, liczył może więcej aniżeli 50 lat. Wyraz twarzy był łagodny, oczy ładne, pełne dobroci, włosy szpakowate zaczesane w górę, modą poetów.

Po lewej ręce wydawcy siedział Stanisław Krzeмиński<sup>72</sup>, średniego wieku, z jasną, szczerą twarzą, słynął z prawdomówności i wielkiego patriotyzmu. Zdaje się, że był on sekretarzem tych posiedzeń. Było jeszcze dwóch panów, nie pomnę ich nazwisk. Kierownik działu ilustracyjnego<sup>73</sup> był nieobecny na posiedzeniu.

Lewentał uprzejmie mnie przywitał i przedstawił zebrany jako przysłego współpracownika w dziale sztuki, wspominając mój felieton o Wicie Stwoszu.

Posiedzenie to jak dla mnie, nie znającego wewnętrznych stosunków pisma, było dosyć nudne, zauważyłem jednak, że przy rozbieżności zdań decydował głos wydawcy, który nie był ani krytykiem, ani literatem. Wśród poruszonych kwestii zajęła mnie sprawa drukowania w „Kłosach” nowej powieści T. T. Jeża, jednego z mych ulubionych pisarzy. Pług był przeciwny umieszczeniu jej w piśmie ze względu na zbyt radykalne poglądy autora. Krzeмиński gorąco przemawiał za drukowaniem w „Kłosach”. Ostatecznie zgodzono się na zdanie wydawcy, że trzeba z Jeżem, mieszkającym w Genewie, przeprowadzić korespondencję o treści i duchu proponowanej powieści. Na podaniu herbaty z przekąskami i owocami skończyło się posiedzenie redakcyjne.

Nadszedł dzień odwiedzin Odyńca, ku wielkiemu memu zadowoleniu, bo miałem cześć i dużą sympatię dla przyjaciela Mickiewicza i dla towarzysza podróży po Niemczech i Włoszech. O tej podróży i odwiedzinach u Goethego mówił na wykładzie swym ks. Bratranek, prof. literatury niemieckiej w Uniwersytecie Krakowskim, a jego książkę *Zwei Polen in Weimar* miałem świeżo w pamięci.

W saloniku zastałem dość liczne towarzystwo, które grupowało się około Odyńca. W pobliżu niego siedziała, jak zawsze, czarno ubrana, pani Borkowska z dwoma również czarno ubranymi niemłodymi paniami, które robiły na mnie wrażenie zakonnice. Za nimi stał dość wysoki, szczupły ksiądz, około trzydziestu lub czterdziestu lat, z twarzą ascetyczną i ponurą. W towarzystwie tym były też dwie panny pisujące wiersze, a mianowicie: Hajota (H. Boguska), autorka ładnej noweli: *Gałązka bzu*, drukowanej w „Kronice Rodzinnej”<sup>74</sup>, i ładna, drobna szatynka, pisują-

---

<sup>72</sup> Stanisław Krzeмиński (1839—1912) — publicysta, historyk i krytyk literacki. Pracował w redakcjach „Bluszczu” (1871—1895), „Gazety Warszawskiej” (1884—1893) oraz „Prawdy” (1895—1906).

<sup>73</sup> Mowa o Marcynie Olszyńskim (1829—1904), który był kierownikiem działu artystycznego „Kłosów” od r. 1866 (?) do zamknięcia czasopisma w r. 1886.

<sup>74</sup> Hajota (Helena Janina z Boguskich Szolc-Rogozińska, 2<sup>o</sup>v. Pajzderska, 1862—1927) — powieściopisarka i tłumaczka. Nowela nosi tytuł *Pięciolistny bez* („Kronika Rodzinna” 1880, nry 1—15), a nie — jak mylnie podaje Gruszecki — *Gałązka bzu*.

ca pod pseudonimem „Jaskółka”<sup>75</sup> wierszyki w „Kronice Rodzinnej”, w „Bluszczu” i w „Tygodniku Mód i Powieści”. Usiadłem w ich sąsiedztwie i rozmawialiśmy półgłosem o ich wierszach, a szczerze chwaliłem *Gałązkę bzu*. Rozmowa przy fotelu Odyńca stawała się coraz głośniejsza, nasłuchiwaliliśmy. Pani Borkowska i ksiądz namiętnie omawiali jakiś świeżo ogłoszony artykuł w „Przeglądzie Tygodniowym”, nie szczędząc określić w rodzaju: skandal, bezceństwo, nieuczciwość, a Odyniec dodał, że artykuły tych postępowców pachną denuncjacją kraju i Kościoła skierowaną do rządu.

Znałem „Przegląd Tygodniowy” z Czytelni Akademickiej w Krakowie, bywał chętnie przez nas czytany, ale prócz zjadliwej, jaskrawej krytyki zachowawców i nadużyć kościelnych nigdy nie spotkałem się z wysługiwaniami się rządowi lub serwilizmem wobec władzy rosyjskiej. Widząc przejęcie moich sąsiadek głośnieją tą rozmową powiedziałem, zapewne przez chęć zabłyśnięcia w ich oczach, bo nie miałem wcale zamiaru stawać w obronie „Przeglądu Tygodniowego”, że to stara walka młodych i starych i to samo było niegdyś we Wilnie. Mówiłem, jak mi się zdawało, półgłosem i tylko do sąsiadek. Odyniec jednak coś posłyszał i spytał głośno, co mówiłem o Wilnie. Nie widziałem żadnego powodu do ukrywania mych słów i skrępowany trochę ogólnym milczeniem odpowiedziałem, przypuszczam, niepewnym głosem, że walka nowych prądów z dawniejszymi trwa ciągle, bywało tak w Wilnie przed sześćdziesięciu laty, jest teraz w Warszawie.

Ach, gdybym był wiedział lub przeczuwał następstwa tych słów i tego nieszczęsnego porównania Wilna z Warszawą, byłbym pytanie Odyńca zbył byle jakim ogólnikiem, ale byłem młody i naiwny. Trudno było bowiem bardziej niewłaściwie odezwać się w gronie jednostronnych zachowawców i obrońców Kościoła i tradycji, aniżeli ja to uczyniłem, biorąc na siebie togę bezstronnego sędziego, a cóż dopiero mówić o porównaniu z Wilnem, istotnie bezpodstawnym.

Odyniec spojrział na mnie złym okiem i rzekł podniesionym nieco głosem, że my, tj. Odyniec i jemu współcześni, budowali, tworzyli, podnosili ducha, szerzyli miłość i zgodę, a ci tz. postępowcy tylko burzą, niszczą, bezczeszczą wszystkie świętości narodowe i sieją nienawiść i pogardę dla ideałów wiary i ojczyzny. Zakończył swą przemowę tonem łagodniejszym, że nie bierze tak dalece za złe moich słów, bo nie znam tutejszych stosunków i ciężkiego położenia ludzi broniących ducha narodu od znieprawienia i zagłady.

Wszyscy z oznakami uznania i prawie zachwyty przyjęli tę przemowę Odyńca, co mu widocznie pochlebiło, i już łaskawiej spojrział na mnie, jako na tego, który dał mu sposobność wypowiedzenia kilku ładnych frazesów. Czulem się upokorzony i lekceważony, ale zamiast poko-

<sup>75</sup> Mowa prawdopodobnie o Jadwidze Zeithaim.

ry i skruchy po otrzymanej nauce wzrosła u mnie niechęć i gniew, że nie pozwalając mi na obronę osadzili, że jestem zarozumiałym intruzem. Zdawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie z litością, i chciałem wyjść niepostrzeżenie, zwłaszcza że proszono wszystkich do pokoju jadalnego. Zapewne manewrowałem niezręcznie, bo gdy skierowałem się ze saloniku do przedpokoju, Odyniec zawrócił mnie i poprowadził do pokoju jadalnego.

Przy stole znalazłem się w sąsiedztwie Jaskółki, której ładna twarzyczka stała się oziębłą i lewie skinieniem głowy, bez spojrzenia dziękowała mi za drobne usługi. Spojrzałem na towarzystwo zajęte w tej chwili rozmową o nowych prześladowaniach Kościoła na Litwie i Rusi. Twarze kobiet były podniecone i żalose, mężczyźni posępni uzupełniali szczegółami świeżą wiadomość. Odyniec, który siedział na pierwszym miejscu, odezwał się smutnym zrezygnowanym głosem, że prześladowania te są następstwem bezrozumnej i zbrodniczej ruchawki roku 63-go.

I mężczyźni, i kobiety uzupełniali ten pogląd przykładami zniszczenia kraju i śmierci niewinnych obywateli, a wszystko z powodu powstańców i ich grózb. Wspomniano też z wielkim uznaniem o Wielopolskim i szlachetnych zamysłach Aleksandra II przed powstaniem.

Słuchałem tego z wielkim oburzeniem i pogardą, bo w domu rodzinnym od wczesnego dzieciństwa wpajano mi cześć, zapał i bezwzględne uwielbienie dla walczących o niepodległość Polski, a powstańcy z r. 1863, które to czasy pamiętałem jako dziecko, byli dla mnie wcieleniem bohaterstwa i poświęcenia się.

Towarzystwo u Odyńca składało się w bardzo znacznej przewadze z ludzi starszych, z przekonania „białych”, czyli lojalnych względem rządu, a cytowane przykłady z powstania były silnie zabarwione niechęcią, prawie nienawiścią do powstańców, wreszcie Odyniec powiedział żałośnie, że wolność Polski i Litwy zabiły te bandy motłochu i zbrodniarzy.

Te słowa tak mnie zabolaly, że podniecony goryczą i oburzeniem powiedziałem głośno:

— Łatwo kopać umierającego lwa!

Zrobiła się nagle cisza, a ja zamiast wyjść natychmiast, co sam uważałem za konieczne, pod wpływem spojrzeń złych i wzgardliwych siedziałem jak przykuty do stołu. Wreszcie odprężyła się ta bardzo przykra sytuacja. Wstał od stołu p. Konstanty Górski<sup>76</sup>, prezes polskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, zaliczany do arystokracji, wysoki, wytworny, i powiedział, że wychodzi, bo ma ważne posiedzenie. Wstałem natychmiast, skłoniłem się w stronę Odyńca i nie otrzymawszy od nikogo skinienia

<sup>76</sup> Konstanty Górski (1827—1901) — ziemianin i polityk konserwatywny. W latach 1876—1887 członek redakcji „Niwy”. Współpracował z „Biblioteką Warszawską” i należał do założycieli „Słowa”. Dyrektorem warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń został w r. 1872 i sprawował tę funkcję do śmierci.

głową wyszedłem do przedpokoju. Palto moje gdzieś się zawieruszyło i z tego powodu wyszedłem razem z K. Górskim. Dopiero na ulicy Górski podając mi rękę rzekł chłodno:

— Postąpił pan niewłaściwie i za gorąco.

Byłem mu b. wdzięczny za ułatwienie mi wyjścia od Odyńca, jakkolwiek zrobił to nie dla mnie, ale dla towarzystwa, ażeby się co rychlej pozbyło niemilego gościa. Spotkałem go w kilka lat później w komitecie dla niesienia pomocy ofiarom powodzi Wisły w r. 1884, a gdy mu wspominałem o wizycie mej u Odyńca, rzekł uprzejmie:

— Pamiętam, pan był wówczas młody i gorący.

Wracając do domu zdawałem sobie sprawę, że z Odyńcem i „Kroniką Rodzinną” zerwałem raz na zawsze, ale tym się nie martwiłem, taką głęboką niechęć i odrazę czułem do tych ludzi bezczeszczących powstanie.

Stopniowo stosunki moje materialne pogarszały się, rosły długi u gospodyni i w sklepiku spożywczym, zacząłem przemyślać o powrocie do Krakowa, i gdy tak bezradny i zgnębiony szedłem ulicą Miodową od księgarza Żyda, który wydawał tanie powieści tłomaczone, spotykam Adolfa Dygasińskiego, którego poznałem w Krakowie w księgarni Kazimierza Bartoszewicza<sup>77</sup>. Po przywitaniu i kilku okolicznościowych pytaniach: skąd? gdzie? co robię w Warszawie? — zaprosił mnie Dygasiński na drugie śniadanie do słynnego wówczas Eberleina przy ulicy Senatorskiej, który za 15 kopiejek podawał smaczną kielbasę z kapustą. Opowiedziałem mu o moich wędrówkach bezowocnych po redakcjach. Słuchał z uśmiechem łagodnym i wyrozumiałym, mówiąc, że są to normalne, codzienne fakta, gdy się walczy o byt, bo nikt pełnej misy nie ustąpi za ładne oczy i frazesy. Z kolei opowiedziałem mu o wizycie u Odyńca i w „Kronice Rodzinnej”, a gdy mówiłem o wzgardliwych wymysłach na powstańców, zaiskrzyły mu się oczy, gdyż brał czynny udział w powstaniu, i zawołał z pasją:

— Osły!... Infamisy!

Gdy skończyłem, porwał mnie w objęcia, ucałował mówiąc:

— Dobry z ciebie chłop! Nie zginiesz!

Od tej chwili byliśmy ze sobą na „ty” i zawarliśmy przyjaźń, która trwała nigdy niczym nie przyćmiona i zawsze wierna, aż do jego śmierci.

Rozpytał serdecznie o moim położeniu, o moich pracach i zamiarach, wreszcie wstał i zalecając mi, ażebym nie wychodził od Eberleina, pożegnał się ze mną, obiecując swój powrót. Minęło może pół godziny, może godzina, nie wiedziałem, bo zastawiłem mój zegarek. Już się na dobre niepokoiłem, gdy wszedł Dygasiński z rozjaśnionym uśmiechem i rzekł mi:

<sup>77</sup> Kazimierz Bartoszewicz (1852—1930) — publicysta, satyryk i historyk, związany z galicyjskim obozem demokratycznym. W latach siedemdziesiątych (do r. 1882) dzierżawił w Krakowie księgarnię F. K. Pobudkiewicza.

— Znalazłem dla ciebie warstat pracy i tylko od ciebie zależy, ażebyś miał monetę.

Opowiedział mi, że był w „Przeglądzie Tygodniowym” i rozmówił się w sprawie mego współpracownictwa z właścicielem i wydawcą pisma Adamem Wiślickim<sup>78</sup>. Pismo to po odejściu Aleksandra Świętochowskiego, głównego filara i właściwego redaktora, zostało bez współpracowników, gdyż dawniejsi przeszli do „Prawdy”, tygodnika Aleksandra Świętochowskiego.

— Wiślicki potrzebuje współpracownika, a ty potrzebujesz zarobku: sprawa czysta i jasna.

Wstaliśmy, ażeby pójść razem do redakcji „Przeglądu” i przedstawić mnie redaktorowi. Redakcja była blisko, bo przy ulicy Czystej nr 2, a w drodze ostrzegał mnie, ażebym się dobrze targował o cenę wiersza drukowanego, bo wydawca jest skąpy, chociaż dużo zarabia.

W redakcji, na parterze prawej oficyny, w obszernym podłużnym, niezbyt jasnym pokoju przyjął nas redaktor i wydawca Adam Wiślicki, przystojny szatyn z długą, starannie utrzymaną brodą. Był dość wysoki, silnie zbudowany, spojrzenie ładnych oczu było niewyraźne, a około ust szablonowy uśmiech, i zbyt troskliwie pilnował swej powagi i w twarzy, i w ruchach. W rozmowie był powściągliwy, umiarkowany, a o sprawach literackich, politycznych, społecznych wyrażał się ostrożnie, niepewnym głosem, z mnóstwem zastrzeżeń. Jedyny wyjątek od tej reguły stanowiła kwestia prasy konserwatywnej, o której wydawał sąd jednostronny, z namiętą niechęcią, tonem wzgardliwym, i nie tyle znęcał się nad ideą przewodnią i przekonaniem konserwatystów, jak nad wybitniejszymi przedstawicielami tego kierunku. Zresztą konserwatywna prasa odpłacała mu z nadwyżką jego niechęć: drwinami, złośliwością, wzgardliwym wymyślaniem, nie przebiegając w doborze słów.

Administrację pisma prowadził Witold Niemirycz, młody człowiek, z twarzą ładną, rasową, wytworny w ruchach i obejściu. Pracowity, uprzejmy, prawy i szczerzy, robił czasem wrażenie, w stosunku do Wiślickich, zabłąkanego królewicza, gdyż pani Flora Wiślicka, rzekoma pomocnica w administracji, niska, dosyć tęga, z pospolitą twarzą, zresztą dobra i uczynna kobieta, z ładnymi oczami i bujnymi włosami, była w ruchach dosyć ordynarna, miała głos krzykliwy, a śmiech zbyt głośny. Wykształcenie jej i wychowanie było mniej niż średnie.

Po wyjściu Dygasińskiego zaprosił mnie Wiślicki do swego mieszkania prywatnego, oddzielonego drzwiami od redakcji i administracji. Zostawił mnie na chwilę samego i poszedł w głąb mieszkania. Salonik był umeblowany wybitnie po mieszczańsku. Nudziły się w nim fotele i krzesła obite czerwonym pluszem, nakryte pokrowcami, stojące około stolika w ordynku banalnym. Odbijało ten porządek stojące lustro z kon-

<sup>78</sup> Adam Wiślicki redagował „Przegląd Tygodniowy” w latach 1866—1905.

solą, na której umieszczono bukiet sztucznych kwiatów, samotna mała kozetka i szafka oszklona z jakimiś pamiątkami z miejsc kąpielowych stanowiły całe meblowanie. Na ścianach wisiały gabinetowe fotografie pana i pani domu i dwa oleodruki.

Wrócił Wiślicki i tonem, któremu starał się nadać koloryt przyjacielski, chwalił moje drukowane prace. Z pewnych określeń i sądów domyśliłem się z łatwością, że ich nie czytał i pamiętał tylko tytuły, ale rad byłem z tego wstępu. Zaproponował mi objęcie działu krytyki literackiej i artystycznej, a szczególnie gorąco polecał mi pisywanie do zbiorowego, bezimiennego felietonu pt. *Echa*, który każdej soboty ukazywał się w „Przeglądzie Tygodniowym”, a składał się z ostrej, zjadliwej krytyki objawów życia bieżącego, a zwłaszcza drwin z prasy konserwatywnej [!] i ich przedstawicieli. Upewnił mnie, że każdy mój artykuł chętnie przyjmie i wydrukuje, byle był związany z bieżącą chwilą.

Te różne przywileje i obfitość propozycji czynionych zawdzięczałem nie tylko Dygasińskiemu, który umiał natchnąć Wiślickiego takim zaufaniem do moich zdolności i do pokrewnych mu przekonań, ale, jak się później dowiedziałem, temu szczególnemu zbiegowi okoliczności, że za przykładem A. Świętochowskiego prawie wszyscy współpracownicy porzucili „Przegląd”, a nowi się nie zgłaszali.

Tę nie dokończoną jeszcze konferencję przerwała pani Wiślicka prosząc nas na obiad i przepraszała za jego skromność, bo nie spodziewała się miłego gościa z Krakowa.

W czasie obiadu Wiślicki powiedział, że wszystkie pisma i dzienniki przychodzące do redakcji mogą czytać w czasie dla mnie dogodnym w lokalu redakcji.

Wspomniał też, że niedawno rozpoczął wydawnictwo „Biblioteki Powszechnej”<sup>79</sup>, wzorowanej pod względem formatu, druku i treści według Reclama „Universal-Bibliothek”<sup>80</sup>, i zaproponował mi tłumaczenie dzieł autorów, których spis wręczy mi po obiedzie.

Przy czarnej kawie, po odejściu Wiślickiego do redakcji, nie pijał jej bowiem ani używał tytoniu, pani Wiślicka poczęstowała mnie swoimi istotnie dobrymi papierosami i zaczęła pytać tonem poufałym o moje stosunki rodzinne, o wrażenia, jakie zrobiła na mnie Warszawa, a szczególnie warszawianki.

W redakcji dokończyliśmy konferencję. Wiślicki płacił mi po 3 kop. za wiersz druku umieszczony w szpaltach pisma, a 4 kop. za wiersz w *Echach*. Z przedłożonych mi książek dla „Biblioteki Powszechnej”

---

<sup>79</sup> „Biblioteka Powszechna” ukazywała się od r. 1891 do 1939 w firmie wydawniczej W. Zukerkandla w Złoczowie. Jej tanie, kieszonkowego formatu książeczki uprzystępniały szerokiemu ogółowi najcenniejsze dzieła z zakresu literatury, historii, kultury, historii literatury, sportu i in.

<sup>80</sup> „Reclams Universal-Bibliothek” — kieszonkowa seria założona przez A. Reclama (1807—1896), wydawana w Stuttgarcie i Lipsku w latach 1867—1942.

wziąłem: *Peter Schlemil Chamissa*<sup>81</sup>, którą znałem i b. wysoko ceniłem, i chętnie zgodziłem się na wysokość hono[ra]rium 15 rubli za arkusz druku. I ku wielkiemu zdziwieniu Niemiryca sam wydawca zaproponował mi 50 rubli zaliczki spłacanej w dowolnych terminach. Otrzymawszy za żądany kwartał numerów „Przeglądu Tygodniowego” celem obznajomienia się ze stylem i tonem pisma, wyszedłem z redakcji.

Nigdy dotychczas od wyjazdu z domu rodzicielskiego i wstąpienia na uniwersytet lwowski, a następnie krakowski nie czułem się tak dumny i szczęśliwy jak w owej chwili. Cały świat sławy, uznania, zaszczytów stał przede mną otwarty i tylko ode mnie zależało zdobyć go i pojąć. Troski materialne, które przed kilku godzinami tak mnie gnębiły i przytłaczały, rozplynęły się w zapomnianą dal, miałem przecież w kieszeni pięćdziesiąt rubli, znaczną kwotę na owe czasy, i pewność, że źródła moich dochodów mogą się tylko zwiększać, a nigdy zmniejszać, toteż o materialnych warunkach bytu ani pomyślałem. Cały utonałem w marzeniach przyszłej sławy i powodzenia. Doznane zawody i lekceważenie różnych redakcji nastroiły mnie wrogo wobec nich, a moje przekonania radykalne, które głośno wyznawałem wśród kolegów i we Lwowie, i w Krakowie, po tych warszawskich przejściach tylko się wzmogły i utrwaliły. Byłem wówczas pewny, że z łatwością będzie można zwalczyć i usunąć przewagę żydowsko-klerykalnej oligarchii, panoszącej się w „Kłosach — Lewental”, w „Tygodniku Powszechnym — Orgelbrand” i w „Bluszczu — Glücksberg”.

Tylko pracować i pisać, powtarzałem sobie uporczywie, wziąłem się i po kilku dniach opanowałem styl i arkana „Przeglądu Tygodniowego”, Pracowałem po 16—18 godzin na dobę, pokrzepiając się mocną herbata. Pierwsze *Echa* do „Przeglądu” kosztowały mnie dużo pracy i wysiłku, bo nosiły ślady naśladownictwa przeczytanych w „Przeglądzie” *Ech*. Ciężko mi było, bo sam byłem autorem, krytykiem i czytelnikiem, a gdy się zmęczyłem tą pracą, na odpoczynek tłomaczyłem *Piotra Schlemila*.

Nareszcie skończyłem trzy *Echa*. Były to karykaturalne obrazki z pozorami wierności fotograficznej, w jaki sposób i pod jak wąskim kątem katolicko-osobistym traktuje się w konserwatywnych pismach sprawy ważne, obchodzące społeczeństwo. Te pierwsze próby powiodły się, zachwalał redaktor, współpracownicy, ale najmilsze mi było uznanie Dygasińskiego i oburzenie, połączone z wymysłami, pism wymienionych w tych *Echach*.

Później te drobne artykuły do felietonu „Przeglądu” zaprawione złośliwością, drwinami i konceptami szły mi łatwo, bo obfitego materiału dostarczały ówczesne dzienniki konserwatywne: „Echo”, „Wiek”, „Ga-

---

<sup>81</sup> A. Gruszeckiego przekład *Dziwnej historii Piotra Schlemila* A. Chamissa ukazał się w Warszawie w 1879 roku.



zeta Warszawska”, mieszczański „Kurier Warszawski” i brukowy „Kurier Poranny”. Niemal w każdym ich numerze można było spotkać dość jaskrawe objawy samozwańczego autorytetu: wiary w swą powagę i nieomylność, podlane to wszystko samochwalstwem. Tej chorobliwej manii nie ulegała z dzienników jedynie liberalna „Gazeta Polska” pod redakcją Lea<sup>82</sup>, a z ówczesnych pism tygodniowych: „Tygodnik Ilustrowany”, zawsze chłodny, rozważny, pod redakcją Ludwika Jenikego<sup>83</sup>, zwanego drewnianym dziadkiem; wysoki, sztywny, ze stosunkowo małą głową, trzymał się prosto jak kij bilardowy i ruchy miał twarde, odmierzone.

Dużo materiału proszącego się o krytykę i ironię nastroczały ówczesne odczyty, wygłaszane przez kilka lat w czasie wielkiego postu w Sali Radnej ratusza. Wprawdzie były one manifestacją polskości Warszawy, gdyż za czasów Hurki wolno było mówić głośno po polsku jedynie w teatrze i w sali odczytowej, i jako takie b. chętnie słuchane i tłumnie nawiedzane, ale też prasa konserwatywna wszelkie korzyści moralne wpiisywała tylko na swoje dobro, reklamując bardzo jaskrawo swe zasługi, swych prelegentów i wygłaszane przez nich odczyty. Ta jednostronność wywoływała opozycję nie tylko pism postępowych, ale i znacznej części inteligencji nie ulegającej dyktaturze pism konserwatywnych. Najgorzej wyszli na tym słabsi prelegenci, krytykowani bez miłosierdzia, a dwa stronnictwa: chwalczy i krytykujący, były tak roznamietnione, że przychodziło do niemiłych zająć, jak po odczycie Włodzimierza Spasowicza<sup>84</sup>, jedyne go prelegenta z obozu postępowego.

Życie publiczne, krępowane, tłumione i przygniatane barbarzyńską despotyczną ręką Hurki i urzędników rosyjskich, gdy za najdrobniejszą manifestację patriotyczną, jak np. odwiedzenie ruin projektowanej świątyni na pamiątkę Konstytucji 3-go maja w Ogrodzie Botanicznym<sup>85</sup> lub spotkanie się u grobu Pięciu Poległych karano więzieniem lub wysiedle-

<sup>82</sup> Edward Leo (1829—1901) — prawnik, publicysta, redaktor „Gazety Polskiej” w latach 1874—1897.

<sup>83</sup> Ludwik Jenike (1818—1903) — redaktor „Tygodnika Ilustrowanego” w latach 1859—1886.

<sup>84</sup> Odczyty W. Spasowicza pt. *Wincenty Pol jako poeta* wygłoszone 12 i 14 III 1878 wywołały ataki prasy konserwatywnej oraz doprowadziły do niemiłego incydentu B. Prusa ze studentami (zob. komentarz E. Jankowskiego w: E. Orzeszkowa, *Listy zebrane*. T. 6. Wrocław 1967, s. 358—360). Zob. też J. Kulczycka-Saloni, *Włodzimierz Spasowicz. Zarys monograficzny*. Wrocław 1975, s. 158: „Spasowicza zakwalifikowano jako przedstawiciela i propagatora pozytywizmu, czyli tej doktryny, która z samej istoty swojej odbiera wiarę w narodową sprawę, każąc ujmować proces historyczny z punktu widzenia ogólnoprzyrodniczych praw, odbierając wiarę w lepszą, nie uzasadnioną racjonalnie przyszłość”.

<sup>85</sup> Były to właściwie — jak pisze L. B. Grzeniewski (*Warszawa w „Lalce” Prusa*. Warszawa 1965, s. 63) — „szczątki fundamentów nigdy nie wzniesionej Świątyni Opatrzności, pod którą kamień węgielny położono uroczyste 3 maja 1792 r.”

niem w odległej gubernie, życie to patriotyczne szukało i czekało chwili zmanifestowania, że żyje i trwa.

Jakiś czas przedmiotem owacyj były odczyty w ratuszu, potem znów teatr stał się ulubieńcem Warszawy i pewnego rodzaju sztandarem politycznym, a nazwiska aktorów i aktorek były na ustach wszystkich, a przede wszystkim dzienników. Tworzyły się nawet chwilowe stronnictwa, np. dwóch rywalek w roli naiwnych: Czakówny i Wisnowskiej<sup>86</sup>, a plotki teatralne były przedmiotem rozmów salonów i suteryn.

Ta przewaga teatru w życiu zewnętrznym Warszawy skłoniła mnie do zajęcia się krytyką sztuk teatralnych i gry aktorów. Zapewne byłbym się dłużej wahał z pisaniem o teatrze, gdyż rzetelnego zamiłowania nie miałem, ale przyjechali do Warszawy: Zygmunt Przybylski, późniejszy autor komedii *Wicek i Wacek*, *Dwór we Włodkowicach*<sup>87</sup> i kilkunastu jednoaktówek, i Julian Łętowski, który przywiózł ze sobą poważny dramat historyczno-symboliczny pt. *Izrael na puszczy*, grany następnie w Teatrze Wielkim<sup>88</sup>. Żyliśmy dość przyjaźnie w Krakowie i uradziliśmy, że wspólnie zamieszkamy. Znaleziliśmy b. dogodny trzypokojowy mieszkanie w Pałacu Karasia naprzeciw Kopernika i rozpoczęła się nowa faza mego życia w Warszawie.

Tak Julian Łętowski, który został stałym współpracownikiem „Echa”, a później „Słowa”, jak i Zygmunt Przybylski, pisujący do różnych dzienników konserwatywnych — a jego głównym dochodem były korespondencje do „Czasu” pod redakcją St. Koźmiana — byli na wskroś przejęci teatrem i żyli jego życiem, jego plotkami, zawiścią aktorów i autorów dramatycznych. To ich zamiłowanie udzieliło się i mnie. Mieliśmy *passepourtout* do wszystkich teatrów warszawskich i zaliczało się do rzadkich wyjątków, ażebym wieczorem zostawał w mieszkaniu.

Ten świat teatralny był dla mnie nowy, b. przyjemny i zajmujący. Aktorzy byli mili, weseli, sypali anegdotami i dowcipami, głębszego wykształcenia nie posiadali. Były jednak wyjątki, jak: W. Rapacki, Królikowski, Żelazowski, Ładnowski. Wszyscy jednak w mniejszym lub większym stopniu chorowali na megalomanię, przewrażliwioną ambicję i miłość własną. Z aktorkami się znałem, ale u żadnej nie bywałem, mimo nalegań Z. Przybylskiego i innych. Miałem to zapewne mylne uprzedzenie, że one nie są szczerze i naturalne, lecz zawsze grają stosowną rolę.

Miałem zresztą przeciw bywaniu u aktorek pewne opory uczuciowe, gdyż znajomość z Heleną Ciawłowską trwała dalej, jakkolwiek nasze wzajemne stosunki zmieniły się na gorsze. Unikała serdeczniejszej roz-

<sup>86</sup> Jadwiga Czaki (1860—1921) grała w Warszawie w latach 1879—1903 role naiwnych amantek. — Maria Wisnowska (1860—1890) debiutowała w r. 1878 w Warszawie, grała role amantek.

<sup>87</sup> Wydane w r. 1888.

<sup>88</sup> Julian Łętowski (właśc.: Władysław Książek) (1857—1897) — dramaturg i prozaik. W kwietniu 1879 przeniósł się z Krakowa do Warszawy. Jego dramat *Izrael na puszczy* wystawiony został w 1880 r. w Krakowie i w Warszawie.

mowy; wzmianki o przeszłości i przyszłości przyjmowała z lekceważącym półuśmiechem, zaś hołdy innych młodych ludzi widziała chętnie. U matki jej popadłem też w niełaskę, gdy mimo nalegań nie postarałem się o wydrukowanie jej wierszy. Prócz tego starała się o poróżnienie Helenki ze mną krewna jej ojca, Skrochowska, stara panna wielbiąca psy, gdyż umyśliła ożenić mnie z córką emerytowanego pułkownika, Polką, dosyć ładną, podobno posażną, panną Manią K. Znoszone przez nią plotki, domysły, złośliwości stopniowo ochładzały nasze wzajemne uczucia, aż te wreszcie zanikły. Z panną Manią po dość licznych wizytach doszliśmy oboje do przekonania, że trudno nam będzie być zgodną parą małżeńską. Te niepowodzenia sercowe nie zmartwiły ani przygnębiły mnie tak dalece, chociaż naprawdę kochaliśmy się szczerze z Helenką może przez dwa lata, a gdy przypadkowo po dwudziestu latach spotkałem ją jako mężatkę i matkę, byliśmy oboje przyjaźnie nastroszeni i bardzo mile wspominaliśmy już zupełnie zblękitniałą przeszłość naszych uczuć i marzeń. Zmiana moich uczuć przeszła bez utrapienia i goryczy, gdyż nastąpił nowy zwrot w moim życiu warszawskim, które dotychczas upływało na zajęciu literackim w „Przeglądzie Tygodniowym”, w redagowaniu i zapisywaniu tygodnika „Świat”<sup>89</sup>, wydawanego przez Wiślickiego dla młodzieży, i przepędzaniu reszty czasu w teatrze i z aktorami. Dochody moje były znaczne, wahały się od 150 rubli do 200 rs. na miesiąc, a nie mając żadnych postronnych wydatków i długów, mogłem żyć nie tylko wygodnie, ale zbytkownie. Warszawa bowiem wówczas należała chyba do najtańszych miast w Polsce. Obiady w drugorzędnych restauracjach, z pięciu potraw, z dowolną zmianą legominy na czarną kawę, kosztowały 25 kop., sztuka mięsa z jarzyną u Wróbla na Mazowieckiej, mogąca zastąpić obiad, kosztowała 10 kop. Cena potraw z kart u Stępkowskiego lub Bauqueta: rzadko która kosztowała jednego rubla, a inne poniżej rubla, a były to pierwszorzędne i najwytworniejsze restauracje.

Obiad b. dobry i obfity w „Europejskim Hotelu” i u „Brüla” [!] kosztował bez abonamentu 1 rubl, a w abonamencie 85 kop. Wódka, piwo, wina krymskie i kaukaskie były bardzo tanie. Jedynie ubrania i bielizna były stosunkowo droższe aniżeli w Krakowie. Cóż dziwnego, że w tych warunkach bytu życie nasze, mam na myśli Przybylskiego, Łętowskiego i siebie, upływało bez troski, kłopotów, wesoło i swobodnie, ale też było czcze, prawie bezmyślne, treść jego była najczęściej jednodiwna. Przypuszczam, że nie tylko my prowadziliśmy podobne życie, ale wielu młodych ludzi. [...]

<sup>89</sup> „Świat. Dwutygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci” (1876—1881).